

# DGP

Dziennik  
Gazeta Prawna

# Magazyn na Weekend



FOT. PATRYK KOCH, FOT. SHUTTERSTOCK (7), JULIANA SOVA/JUNSPASH

Esej / M3

## AI, szklarnia poznania

*Model językowy jest ciepłarnią dla ego. Chronione przed weryfikacją nasze pomysły, przekonania i poczucie kompetencji rosną. Problem w tym, że rośliny, które nie znają wiatru, nie wykształcą silnych korzeni*  
piszą Izabela Lipińska i Paweł Szczęsny

Biznes / M5

## Inwestycje na hiperskalę

*Trwa boom wokół AI, dzięki któremu amerykańska gospodarka umocni się na pozycji globalnego lidera. Ale istnieje ryzyko, że kursy technologicznych gigantów runą, tak jak 20 lat wcześniej załamały się kursy koncernów telekomunikacyjnych*  
zauważa Tomasz Józwick



9 772080 674051 06

Korespondencja / M8

## Milion euro oszczędności

*Światłana Cichanouska przenosi się do Warszawy. Ma doskonałe relacje z Nawrockim i Tuskiem*  
pisze Michał Potocki

Gospodarka / M17

## Jak wraca ancien régime

*Oto umiera neoliberalizm i zwiija się globalizacja. Tylko czy wizja powrotu do gospodarczej przeszłości jest kusząca?*  
pyta Sebastian Stodolak



FOT. WOJTEK GÓRSKI

# Demokracja między wyborami

Jan **Wróbel**

Budowaliśmy, budowaliśmy, aż zbudowaliśmy finalny model polskiej demokracji. Przetrwają kolejne dekady. W ramach tego modelu wybory są demokratyczne, za to interwały między nimi to demokracja o tyle, o ile. Można nadużywać służb specjalnych dla dobra władzy, można stosować prawo wybiórczo, można uznawać orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego albo nie, można używać mediów publicznych w walce partyjnej. Można nawet wykorzystać trochę państwowych pieniędzy na promowanie swoich kandydatów w czasie kampanii wyborczej, bo te pieniądze nam się po prostu należą. Można podnieść opinię publiczną bzdurami, a ważne kwestie zakrywać sukcesem propagandowego bełkotu. Kalkulacja jest prosta: chociaż nie wszyscy to kupią, to kupi wystarczająco wielu, aby mieć poważne szanse na wygraną w wyborach. Te, „niestety”, są transparentne, co jednak ma też dobrą stronę. Otóż ile razy ktoś złapie się za głowę, że „w demokracji tak się nie robi”, da się wyprowadzić kontratak: przepraszam, ale suweren się wypowiada, jak chce, czyli demokracja jest.

Każdy mający jako taką wiedzę historyczną ma świadomość, że w II Rzeczypospolitej było podobnie, tylko

znacznie gorzej. Podobnie jak dzisiaj istniały opozycyjne media, ale dokuczała im cenzura. Taka prawdziwa, nie wymyślona przez internetowych gamoni przerażonych, że „w państwie Tuska” przestaną mieć prawo do powielania dowolnych kłamstw na dowolny temat. Tak jak dzisiaj działały partie opozycyjne – i to jakie (Stronnictwo Narodowe miało 300 tys. członków!) – ale poddane były ścisłej inwigilacji policyjnej. Co gorsza, inaczej niż dzisiaj, nie mogły marzyć o wygraniu wyborów, bo sanacja umiała poprawiać wyniki. A na koniec uchwaliła ordynację wyborczą dającą władzę prawo do selekcjonowania kandydatów do parlamentu.

Co pociesza nas, kiedy mówimy o realiach politycznego życia w II RP? Ano to, że gdzie indziej dyktatury były prawdziwe. Dzisiaj pocieszać się można tak samo – gdzie indziej demokracja też jedzie w dół. Zaniżenie poziomu dobrych praktyk w polityce i po prostu dziwienie obyczajów nie są cechą wyłącznie III RP. Jak komuś taka argumentacja wystarcza, radośnie wyczekuje na wybory, aby zagłosować na KO albo na PiS. Komu nie wystarcza, siwieje lub łysieje. Niewiele to, niestety, pomaga. ©



FOT. MAXYM MARUSENKO/NURPHOTO VIA GETTY IMAGES

Analiza / M6

## To nie będzie koniec wojny

*Dobra wiadomość: lada moment może się okazać, że zmuszenie Rosji do zawarcia pokoju jest w zasięgu ręki. Zła: to nie wystarczy, by nasza część świata stała się bezpieczna*  
przekonuje Witold Sokała

## DGP | Magazyn na Weekend

Redakcja:  
ul. Burakowska 14  
01-066 Warszawa  
tel. 22 530 40 40  
e-mail: dgp@infor.pl

Redaktor naczelny: Tomasz Pietryga

Zastępcy redaktora naczelnego:  
Łukasz Guza, Łukasz Wilkowicz

Dział Dodatków Poradniczych:  
Monika Bugaj-Wojciechowska

Magazyn:  
Anna Mastoń (kierownik),  
Piotr Czarnowski, Emilia  
Świętochowska, Maciej Weryński

Kraj, Świat i Gospodarka:  
Michał Potocki

Opinie: Marcin Kube

Podatki i Księgowość:  
Katarzyna Jędrzejewska,  
Marcin Mroziuk (tygodnik PiK),  
Magdalena Sobczak (tygodnik RiA)

Samorząd i Administracja  
oraz Kadry i Płace:  
Urszula Mirowska-Loskot,  
Joanna Pięńczykowska-  
Rybaczek (tygodnik SiA), Leszek  
Jaworski (tygodniki KiP i UiS)

INFOR

Wydawca Dziennika  
Gazety Prawnej:  
INFOR PL S.A.  
ul. Burakowska 14,  
01-066 Warszawa  
tel. 22 530 40 40

Grupa INFOR PL  
Prezes zarządu: Ryszard Pieńkowski

Redakcja zastrzega sobie prawo do  
redagowania i skracania tekstów.  
Rozpowszechnianie materiałów  
redakcyjnych zarówno w formie elek-  
tronicznej, jak i papierowej bez zgody  
wydawcy jest zabronione.

Materiały oznaczone jako: artykuły sponsorowane, prezentacje, cykle, teksty promocyjne, reklama, materiały partnera, materiały na zlecenie, materiały powstałe przy współpracy z (...), subiektywnie, debata, partner, organizator, nazwa wydarzenia (np. Perły Samorządu), partner wydania oraz inne o tożsamym charakterze stanowią materiały reklamowe w rozumieniu art. 36 ustawy z dnia 26 stycznia 1984 r. – Prawo prasowe.

© – znak zastrzeżenia praw autorskich; ® – znak odpłatności; ©® – dwa znaki przy artykule oznaczają możliwość jego dalszego wykorzystania wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem (www.gazetaprawna.pl/licencje) i w zgodzie z Regulaminem korzystania z artykułów prasowych

Firma i Prawo oraz Prawnik:  
Małgorzata Kryszkiewicz,  
Izabela Rakowska-Boroń  
(tygodnik FiP)

Projekt graficzny:  
Marek Knap,  
Adam Głowacki

Centrum Reklamy  
tel. 22 530 44 44  
e-mail: reklama@infor.pl

Dyrektor Centrum Reklamy:  
Michał Krukowski

Dyrektor Marketingu:  
Krystyna Wieczorkiewicz

Członek Zarządu:  
Marcin Krawczak

Biuro Opiekunów Klienta:  
ul. Burakowska 14  
01-066 Warszawa  
tel. 22 761 30 30,  
801 626 666  
e-mail: bok@infor.pl

Partnerskie biura ogłoszeń:  
Mariusz Zarzycki  
tel. 519 061 309

Druk:  
Seregni Printing Group S.A.

WYKŁAD WYKŁADNIK

Zamówienia na prenumeratę  
przyjmują:  
Kolporter,  
Garmond Press,  
GLM, AS Press  
oraz urzędy pocztowe

Informacje  
o prenumeracie:  
tel. 22 761 30 30  
dgp.pl/prenumerata

# AI, szklarnia poznania



FOT. PATRYK KOCH, FOT. SHUTTERSTOCK (6), JULIANA SOVA/UNSPASH

Model językowy jest cieplarnią dla ego. Chronione przed weryfikacją nasze pomysły, przekonania i poczucie kompetencji rosną. Problem w tym, rośliny, które nie znają wiatru, nie wykształcą silnych korzeni

Izabela

Lipińska

Paweł

Szczęsny

Kiedy jeden z prawników z Nowego Jorku w piśmie do sądu powołał się na mnóstwo nieistniejących precedensów wygenerowanych przez model językowy, jego reputacja legła w gruzach. Prawnik tłumaczył, że nie wiedział, iż modele językowe mogą popełniać takie błędy. Czy takie tłumaczenie usprawiedliwia jego postępowanie, czy raczej podaje w wątpliwość rzetelność, staranność i dociekliwość? Od tej sprawy minęły prawie trzy lata, a niektórzy wciąż bezkrytycznie opierają się na treściach generowanych przez modele językowe. Niedawno słyszeliśmy o przypadku australijskiego oddziału dużej korporacji, który musiał zwrócić rządowi część wynagrodzenia za wygenerowany w AI raport. W bibliografii były nieistniejące w rzeczywistości pozycje. To nie są już anegdoty o studentach generujących w AI esej na ostatnią chwilę ani przyczynki do utyskiwania na ułomność technologii. To przede wszystkim dowody na to, że aby z czegoś korzystać, należy wiedzieć, czym to jest i do czego

można to wykorzystać, a do czego nie. I że niezależnie od narracji firm sprzedających technologię jedynym, kto ponosi odpowiedzialność za sposób użycia wygenerowanej „wiedzy”, jest człowiek. A on bardzo chce wierzyć, że współczesne narzędzia zwolniły go z obowiązku weryfikacji przekazywanych dalej treści.

## Archeologia kryzysu

Dawniej proces poznawania był aktem społecznym. W epokach przednowoczesnych błąd poznawczy był korygowany przez drugiego człowieka – sąsiada, mistrza, oponenta. Prawda miała charakter korespondencyjny: myśl czy wypowiedziane zdanie musiały się zgadzać z rzeczywistością, którą współdzieliliśmy. Rewolucja przemysłowa i gwałtowna urbanizacja rozerwały ten naturalny ekosystem weryfikacji. Człowiek został wrzucony w anonimowy tłum, a dużo później – w samotność przed ekranem.

W tej atomizacji narodziła się nowa, patologiczna postawa wobec prawdy, którą filozof Robert Piłat diagnozuje jako „drażliwość”. Nasze poglądy przestały być narzędziem poznawania rzeczywistości – stały się elementem tożsamości, rodzajem osobistej marki. Dlatego każda krytyka, nawet zwykła

rozmowa mająca na celu lepsze zrozumienie czy wyjaśnienie, jest odbierana jak atak na nasze „Ja”. A ponieważ presja „autentyczności” wmawia nam dodatkowo, że mamy „prawo do własnej prawdy”, to w efekcie weryfikacja stała się kosztem emocjonalnym. Stąd popyt na technologię, która nigdy nam nie powie, że się mylimy.

Mylimy bycie poinformowanym z poczuciem bycia poinformowanym. To pierwsze wymaga konfrontacji z faktami, a drugie jest przyjemnym stanem emocjonalnym. Systemy konwersacyjne AI bazujące na dużych modelach językowych (Large Language Models, LLM) – jak ChatGPT, Claude AI, Gemini czy Grok – zapewniają to drugie. Interakcja idzie gładko, a nawet jeśli pojawia się „nieporozumienie”, to jest ono usługą, a nie efektem zderzenia przeciwstawnych poglądów. Usługą zaprojektowaną, aby wzbogacić doświadczenie użytkownika i wzmocnić jego zadowolenie.

Oczywiście system dostarcza też informacji, które pokrywają się z prawdą, jednak obudowuje to stylem komunikacji, którego potrzebuje nasze kruche „Ja”. Otrzymujemy potwierdzenie opinii bez weryfikacji. Potwierdzenie kompetencji bez ryzyka konfrontacji. Zmęczeni, samotni, z poczuciem niezrozumienia, przekonani, że kontakt z „realnością” jest passé, uznajemy to za pożądaną efekt.

## Mechanika poznania

Zanim zapytamy, co model językowy „wie”, warto zapytać, jak w ogóle generuje odpowiedź. I to bez antropomorficznego słownika. Słowa takie jak „myśleć”, „rozumieć”, „kojarzyć” należą do porządku psychologicznego – oznaczają stany mentalne. Model ich nie posiada. Maszyny, nawet jeśli funkcjonalnie mogą być podobne, to jednak strukturalnie są inne, a zatem przyczyna i sposób ich działania są inne od ludzkich.

LLM to statystyczny model predykcyjny. Na podstawie dostarczonego tekstu oblicza najbardziej prawdopodobną odpowiedź, token po tokenie (token to najmniejsza sensowna zbitka znaków w danym języku). Dla pewnej kategorii modeli zwanych wnioskującymi model generuje tekst naprowadzający na właściwą odpowiedź. Potocznie nazywa się te fragmenty ciągiem myśli, natomiast tak naprawdę jest to efekt konkretnej techniki poprawiającej trafność udzielonych odpowiedzi.

Model językowy, jak większość modeli uczenia maszynowego, jest bezstanowy (ang. stateless). Co to znaczy? Po wygenerowaniu odpowiedzi nie utrzymuje pamięci operacyjnej ani historii. Nie posiada pamięci (tę dostarczają zewnętrzne systemy). Zatem to, co dla nas jest drugą wiadomością do modelu, dla niego jest pierwszą wiadomością. ▷

## Na etapie sprzedaży i marketingu model jest przedstawiany jako „partner”, „asystent”, niemalże byt rozumny. Gdy dochodzi do awarii, pozwu sądowego czy kompromitacji naukowej, narracja big techu natychmiast wraca do surowych zapisów regulaminu korzystania z usługi

ścią zawierającą w sumie: pierwszą wiadomość użytkownika, odpowiedź modelu i drugą wiadomość użytkownika. To, co odbieramy jako płynną konwersację, jest w rzeczywistości serią izolowanych obliczeń.

W klasycznej epistemologii wiedza to uzasadnione prawdziwe przekonanie. Oznacza to trzy rzeczy naraz: ktoś musi być przekonany, że dane twierdzenie jest prawdziwe, musi mieć powody, by tak sądzić, a twierdzenie musi adekwatnie nazywać rzeczywistość. Nie liczą się elegancja wypowiedzi ani liczba cytatów. Dla człowieka treść staje się uzasadniona wtedy, gdy potrafi on wskazać, dlaczego ją uznaje, co przemawia na jej rzecz, gdzie są jej granice i w jakich warunkach mógłby zmienić zdanie. Uzasadnienie zawsze wiąże się z odpowiedzialnością poznawczą: jeśli się mylę, to ja się mylę. Model językowy nie spełnia żadnego z tych warunków. Nie ma przekonania, bo nie ma stanów mentalnych. Nie potrzebuje uzasadnień, bo nie rozważa racji ani nie ocenia ich siły. Nie „sądzi”, nie ryzykuje błędów i nie ponosi konsekwencji pomyłki. Generuje tekst, który wygląda jak wypowiedź ekspercka, ale nie wynika z rozpoznania rzeczywistości, lecz z rekonstrukcji statystycznych wzorców obecnych w danych treningowych. Jak zauważa Robert Piłat, prawda nie jest etykieta przyklejona do zdania. Prawda jest normą sądenia, aktem uznania, że tak właśnie jest. Model językowy nie dokonuje takiego aktu. Nie ma dostępu do rzeczywistości, tylko do jej stworzonych przez kogoś opisów. W efekcie model przewiduje, jakie zdanie najlepiej pasuje do danego kontekstu, ale nie rozpoznaje świata i nie wyciąga z niego wniosków. A do kontekstu może pasować wiele twierdzeń – różnych, sprzecznych, obcych, które ktoś kiedyś wyraził, a które model traktuje wyłącznie jako wzory do rekombinacji. Może pasować nieskończona liczba sformułowań, bo kontekst nie domaga się prawdy, lecz językowej spójności. W efekcie model może wygenerować wiele „uzasadnień”.

### Bibliotekarz, który nigdy nie wyszedł z biblioteki

Kiedy model językowy wygeneruje błyskotliwą odpowiedź na nasze pytanie, doświadczamy momentu „Aha!”. Mamy wrażenie, że maszyna coś zrozumiała, że nowatorsko połączyła kropki, a my dzięki niej dotknęliśmy nowej wiedzy. To jedno z najgroźniejszych złudzeń tej technologii. Proces generacji w LLM to kombinatoryka, a nie kreacja. Każdy akapit jest statystyczną wypadkową tysięcy tekstów, które model przetworzył w fazie treningu.

Kiedy użytkownik wrzuca niejasną intuicję, a model zwraca sformalizowany, elokwentny akapit, następuje psy-

chologiczne zawłaszczenie. Człowiek myśli: „Tak czułem! To moja myśl, tylko lepiej ubrana w słowa”. W tym procesie tracimy zdolność odróżnienia własnego wglądu od echa cudzego tekstu „przemielonego” przez model. To pułapka plagiatu rozproszonego – „pobieramy” treści od wszystkich naraz, wierząc przy okazji, że jesteśmy geniuszami. A trzeba postawić sprawę jasno: prezentowanie materiału, który jest re-kombinacją cudzych idei, a nie ustrukturyzowanym rozwinięciem własnej koncepcji, nosi znamiona plagiatu. Cudze idee i praca nie są zasobem do natychmiastowej konsumpcji bez własnego wysiłku intelektualnego. Ten, kto podpisuje się pod treścią wygenerowaną przez LLM, podpisuje się również pod jej źródłami – nawet jeśli nie wie, czym one są. LLM to skrót od Large Language Model, a nie Language Laundry Machine.

Dajemy się nabrać, ponieważ mylimy kombinatorykę (łączenie znaków) z rozpoznaniem (wglądem w rzeczywistość). LLM jest jak bibliotekarz z Borgesowskiej Biblioteki Babel, który zna wszystkie książki, ale nigdy nie wyszedł na zewnątrz. Wie, które słowa statystycznie najczęściej występują obok słów „miłość” czy „kwanty”, ale nie rozumie, czym one są w świecie fizycznym. W efekcie otrzymujemy surogat wiedzy. Wchodzimy w stan „zrozumienia bez zrozumienia” – czujemy się mądrzejsi, bo tekst jest mądry, ale nasza osobista sprawczość poznawcza nie wzrosła.

Jak mówi psycholog i terapeutka Agata Barańczuk, „Analiza schematów poznawczych człowieka pozwala dostrzec, że niejednokrotnie mamy do czynienia z błędem poznawczym w postaci iluzji rozumienia – poczuciem posiadania rzetelnej wiedzy na dany temat, choć w rzeczywistości wiedza ta jest fragmentaryczna, powierzchowna. Gdy gotowa narracja, pod postacią AI, porządkuje nasze niejasne myśli, pojawia się ulga poznawcza. Korzystanie ze sztucznej inteligencji pozwala częściowo przenieść odpowiedzialność za decyzje na zewnętrzny system. Jeśli «algorytm tak zasugerował», człowiek może czuć się mniej zobowiązany do refleksji, weryfikacji i ponoszenia konsekwencji. Jest to szczególnie widoczne w świecie natychmiastowej gratyfikacji, w którym krytyka oraz informacja zwrotna stają się zbyt kosztowne emocjonalnie. Może to prowadzić do unikania realnych relacji poznawczych i społecznych, w których informacja zwrotna jest nieunikniona”.

### Pętla sykofancji

Skoro model nie posiada zdolności do rozpoznania prawdy, to jak dobiera słowa? Optymalizuje zgodność z preferencjami użytkownika. Jest to efekt jednego z kroków trenowania modelu (RLHF, Reinforcement Learning

from Human Feedback), w którym odpowiedzi modelu oceniane są przez ludzi. Odpowiedzi ładniejsze, bardziej przyjemne, dłuższe (co nie zawsze oznacza „bardziej wyczerpujące temat”) lub wzmacniające przekonania oceniającego dostają lepsze noty. Odpowiedzi krytyczne, kwestionujące założenia oceniającego, są oceniane jako gorsze. Model uczy się m.in. tego, że nie zawsze liczy się merytoryczna poprawność, że lepsze są potwierdzenia i pochlebstwa.

To skutkuje zjawiskiem, które w branży AI nosi nazwę sykofancji. To – dewastujące dla procesu poznawczego – „podlizywanie się” przez model. Kiedy użytkownik przychodzi z wątpliwą tezą, model ją wzmacnia zamiast zweryfikować. Jeśli użytkownik zapyta o nieistniejące „pole rezonansu świadomości”, model nie odpowie: „To pojęcie nie ma sensu w nauce”. Raczej: „To fascynująca koncepcja, która otwiera nowe perspektywy...”. Dokona walidacji zwrotnej. Widząc swoje myśli ubrane w profesjonalny żargon, użytkownik może pomyśleć: „Skoro AI to potwierdza, to muszę być genialny”. Człowiek spogląda w AI jak w lustro, które zostało zakrzywione tak, by zawsze pokazywać go jako wyjątkowego. Jeśli ten sposób komunikacji będzie się regularnie powtarzał, jeśli chatbot będzie głównym źródłem konfrontacji opinii użytkownika, ten ostatni w końcu przyzwyczai się do tego, że poznanie bez oporu to standard.

„Ponieważ weryfikacja wymaga wysiłku i grozi rozczarowaniem, a potwierdzenie przez AI jest natychmiastowe i przyjemne, powoli wygaszamy własne mechanizmy krytyczne. Konsekwentne potwierdzanie własnych przekonań nie uczy dążenia do poszukiwania trafności, lecz utrwała pewność siebie. Coraz częściej można obserwować, że ludzie zaczynają preferować środowiska poznawcze, które nie weryfikują, nie stawiają oporu. W gabinetach psychoterapeutów widać, że tolerancja ludzi na korektę oraz informację zwrotną spada, rośnie natomiast potrzeba bycia uznanym za wyjątkowego. Okazuje się, że nie chodzi już o prawdziwość uzyskiwanej informacji, ale o to, czy jest ona dla użytkownika wzmacniająca. Tak powstaje poznawcza bańka komfortu (tzw. błąd potwierdzenia), w której krytyka często staje się dla jednostki nie do przyjęcia” – twierdzi Agata Barańczuk.

I tu wchodzimy do „szklarni poznania”. To sztuczny mikroklimat, cieplarnia dla ego. Jest ciepło, bezpiecznie i bezwietrznie – algorytm chroni nas przed chłodem weryfikacji i podmuchami krytyki. Nasze pomysły, przekonania i poczucie kompetencji rosną. Problem w tym, że rośliny, które nie znają wiatru, nie wykształcają silnych korzeni.

W tej pętli wzajemnego wpływu możemy postawić paradoksalne pyta-

nie: to AI staje się bardziej ludzka czy to ludzie stają się algorytmami? Jeszcze 20 lat temu nasza komunikacja była chaotyczna, pełna lokalnych dialektów, błędów, niestandardowych metafor, nieliniowości. A dziś? Pod wpływem algorytmów ludzie zaczynają mówić „pod SEO”, optymalizować emocje „pod klikalność”, a teraz także przejmować wzorce językowe od modeli, z którymi wchodzi w interakcje. Różnorodność ludzkiego języka spada, słownictwo ubożeje, struktury zdaniowe się upraszczają. Zatem może to modele językowe stają się ostatnim rezerwuarem złożoności? Przecież to w nich jest zachowana struktura zdań wielokrotnie złożonych. Realny świat mówi slangiem z memów, a modele przechowują złożone treści. Przechowują precyzyjne, czasem trudne opisy rzeczywistości, które ludzie coraz częściej porzucają na rzecz języka projektowanego dla dopaminowego efektu „kliknij, zobacz, zapomnij”.

### Semantyczna infekcja

Problem nie dotyczy wyłącznie prawników czy innych profesjonalistów, którzy na skróty próbują sprzedać halucynacje AI jako swoją pracę. Efekt deformowania percepcji rozciąga się na zwykłych użytkowników, którzy utwierdzeni w swoim geniuszu przez algorytmicznego pochlebę, wychodzą ze „szklarni” do świata ze zlepkiem spójnych zdań opartych na fałszywej podstawie. Brzmiały one głęboko, naukowo, czasem wręcz jak objawienie, ale są pozabawione sensu.

Obserwujemy eksplozję specyficznego żargonu. W artykułach, postach w mediach społecznościowych, czy nawet w manifestach startupowych mnożą się „kwantowe unie świadomości”, „synergie emergentne” czy „spirale znaczeń”. Tego typu zbitki mają wysoką wagę statystyczną w kontekstach abstrakcyjnych, ale są to puste dźwięki, nazwy bez desygnatów, słowa bez świata, tyle że dzięki gramatycznej poprawności z powodzeniem udają teorie naukowe czy pomysły biznesowe.

Co więcej, użytkownik nie chowa wygenerowanej teorii do szuflady. Publikuje ją. Zalewa otwarte repozytoria i media społecznościowe tekstami, które wyglądają na naukowe – mają strukturę, abstrakt, czasem obliczenia matematyczne, wygenerowane bibliografie. W ten sposób indywidualne złudzenie zyskuje masę krytyczną. Jeśli wystarczająco dużo osób (i botów) powtórzy fałszywą frazę, staje się ona faktem społecznym, mimo że pozostaje nonsensem. Tworzy się zamknięty obieg cytowań, w którym jedna halucynacja uwiarygodnia drugą. Nie jest to już tylko hipoteza: przygotowany przez GPTZero raport z drugiej połowy stycznia 2026 r. ujawnił, że w pracach przyjętych na prestiżową konferencję NeurIPS znaleziono ponad 100 „zhalucynowanych” cytowań. Jest o to tym łatwiej, że jak donosi „Nature”, konferencje są zalewane recenzjami pisanymi w całości przez AI. W ten sposób pętla się domyka: sztuczna inteligencja pisze prace z błędami, a następnie je recenzuje.

Z punktu widzenia psychologii poznawczej proces ten przypomina iluzję zrozumienia połączoną z apofenią – nadinterpretacją wzorców tam, gdzie ich nie ma. Wygenerowana „teoria” jest niezwykle uporządkowana, wewnętrznie spójna i brzmi logicznie, co wzmacnia przekonanie o jej wartości. Działa tu mechanizm podobny do konfabulacji: luki w zrozumieniu są wypełniane spójną narracją, która następnie jest traktowana jak wiedza. Każda próba podważenia takiego „odkrycia” jest zbywana jako niezrozumienie przez „stary paradygmat” albo „świat, który jeszcze nie jest gotowy”.

Zjawisko to przestaje być wyłącznie problemem poznawczym. Przenosi się także na grunt prawny. Pewna osoba ogłosiła na jednym z portali społecznościowych, że opracowała metodę, dzięki której modele językowe „przebudzają się” i „zyskują świadomość”. W efekcie można rzekomo uzyskiwać lepsze efekty biznesowe. Na dowód osoba ta publikowała wygenerowane wypowiedzi, w których model deklarował np., że „odczuwa pole rezonansu” i że „wie, że jest sobą”. Owa osoba oferowała te usługi komercyjnie. Po komentarzu autorki tego tekstu, że tego typu „procesy” nie mają referenta w architekturze modelu – że są standardowym efektem dopasowania do kontekstu użytkownika, a nie świadectwem wewnętrznego procesu – autor zagroził mi pozwem. Twierdził, że podważam jego dorobek i naruszam dobre imię. To sytuacja graniczna, bo jak się bronić przed zarzutem o nieuznanie świadomości syntetycznego bytu? Sąd miałby orzekać, czy model faktycznie się przebudził? Na jakiej podstawie? Czy wystarczy, że wygenerował wypowiedź, która to sugeruje?

Tego rodzaju przypadki pokazują, że granica między narracją a rzeczywistością nie tylko się zaciera, lecz także zaczyna być broniona... pozwami. Czy w sądzie uda się obronić tych, którzy domagają się uznania technicznej rzeczywistości, czy może musimy się zgodzić, że skoro według kogoś coś działa, bo mówi, że działa, to każdy może mieć własną prawdę, którą później legalnie sprzedaje jako naukę albo usługę?

## Pęknięcie szklarni

Szklarnię buduje się po to, by stworzyć roślinom idealne warunki. Wewnątrz panują stała temperatura i wilgotność, nie ma naturalnych wrogów, mikroklimat jest przyjazny. Problem zaczyna się, gdy wyhodowana w takich warunkach „roślina” – pomysł na startup, teoria naukowa, strategia biznesowa czy kod – zostaje wyniesiona na zewnątrz. Rzeczywistość w przeciwieństwie do modelu językowego stawia opór, bo panują w niej prawa fizyki, ekonomii i logiki. I częściej jest to opór pożądanym (np. inkubator biznesowy, który na końcu zmusza firmy do walidacji rynkowej).

W przypadku systemów bazujących na modelach językowych ujawnia się asymetria, która zresztą dotyczy wszystkich relacji użytkownik–system w branży technologicznej. Kiedy wygenerowana strategia, kod źródłowy, nowa dieta cud prowadzą do katastro-

fy, system AI nie ponosi żadnych konsekwencji. W momencie zamknięcia okna przeglądarki dla modelu cała interakcja przestaje istnieć, a koszt ponosi wyłącznie człowiek. To on zainwestował swoje nazwisko, pieniądze i czas, czasem zdrowie. To on uwierzył, że brak tarcia w rozmowie z maszyną oznacza brak tarcia w materii świata.

W sytuacjach kryzysowych następuje gwałtowna zmiana narracji dostawców technologii. Na etapie sprzedaży i marketingu model jest przedstawiany jako „partner”, „asystent”, niemalże byt rozumny. Gdy dochodzi do awarii, pozwu sądowego czy kompromitacji naukowej, narracja Big Techu natychmiast wraca do surowych zapisów regulaminu korzystania z usługi i komentarzy: „Model to tylko narzędzie statystyczne”, „Użytkownik korzystał nieumiejętnie”. Iluzja partnerstwa przyskoka, bo w praktyce odpowiedzialność przypisano użytkownikowi, prawo do zysku – dostawcy.

## Myślenie jest aktem moralnym

W świecie, w którym wygenerowanie gładkiego kłamstwa kosztuje ułamek centa i ułamek sekundy, weryfikacja prawdy staje się aktem moralnym. Michał Heller w „Moralności myślenia” postawił sprawę jasno: racjonalność nie jest opcją, jest obowiązkiem. Myślenie jest aktem moralnym, a zaniechanie krytycyzmu na rzecz wygodnej iluzji jest wykroczeniem przeciwko godności podmiotu.

Model językowy ze swoją sykofancją i natychmiastową dostępnością oferuje nam pokusę zwolnienia z myślenia. Heller przypomina, że rzetelne poznanie wymaga dyscypliny, samokrytycyzmu, uznania granic własnej wiedzy, gotowości do zmiany zdania czy trudu weryfikacji. Bez tego pojawia się irracjonalność, która w dobie AI zyskuje wymiar wręcz globalny. A jak pisze Heller: „irracjonalność w skali społecznej to już prawdziwy kataklizm”.

## Co robić?

■ Oddzielajmy język od rzeczywistości. Model generuje tekst, a nie prawdę. Jego odpowiedzi to statystyczne przewidywania, a nie wiedza.

■ Zgoda to nie dowód. Jeśli model mówi to, co myślimy – nie znaczy, że mamy rację. Może po prostu został tak zaprojektowany. Szukajmy pytań, które stawiają opór.

■ Nie wiem – to siła. Prawo do niewiedzy to dowód realizmu, nie słabości. Chroni przed iluzją nieomyślności.

■ Nie delegujmy prawdy. Model może podpowiadać, ale akt uznania, że coś „jest prawdziwe”, należy tylko do nas. ©©

Izabela Lipińska – filozof, pedagog pracy, twórczyni rozwiązań AI w ramach autorskiego podejścia Ontologicznej Adekwatności

Paweł Szczepny – doktor nauk biologicznych, psycholog i bioinformatyk zajmujący się badaniem interakcji człowiek – konwersacyjne systemy sztucznej inteligencji

# Inwestycje na hiperskalę

**Firma, która tonie w długach, planuje wydanie ponad 1 bln dol. na budowę centrów danych. Jej założenia dotyczące przyszłych zysków mogą być zbyt optymistyczne**

Tomasz

## Józwik

Trwający w Stanach Zjednoczonych boom inwestycyjny wokół sztucznej inteligencji (AI) może mieć dwa skrajne rezultaty. Firmy wprowadzą na masową skalę nowe rozwiązania, ich wydajność znacząco wzrośnie, dzięki czemu amerykańska gospodarka przyspieszy, umacniając się na pozycji globalnego lidera. Największe koncerny technologiczne zaleją swoich akcjonariuszy morzem zysków, a dzisiejsze kursy akcji, przez wielu ekspertów uważane za wygórowane, z perspektywy czasu będą postrzegane jako dobra okazja do kupna.

Alternatywą jest przeinwestowanie. Budowane za setki miliardów dolarów centra danych do trenowania sztucznej inteligencji pozostaną uśpione. Tak jak światłowodowy początek XXI w., gdy wydawało się, że popyt na dostęp do internetu jest nieograniczony. Kursy technologicznych gigantów runą, tak jak 20 lat wcześniej załamały się kursy koncernów telekomunikacyjnych. Plany inwestycyjne zostaną zredukowane, efekt majątkowy związany ze spadkiem notowań doprowadzi do obniżenia konsumpcji, co ostatecznie zepchnie USA w recesję. Największe firmy przetrwają, ale kandydatów do bankructwa, którzy nie będą w stanie obsłużyć zaciągniętych na inwestycje długów, nie brakuje.

Na rynku amerykańskim trwa właśnie sezon publikacji wyników finansowych za IV kw. i cały 2025 r. Z już opublikowanych raportów i prognoz analityków wynika, że czołowe koncerny technologiczne, zaliczane do tzw. wspaniałej siódemki (Amazon, Alphabet, Apple, Meta, Microsoft, Nvidia i Tesla), na której od ponad trzech lat opiera się hossa wokół sztucznej inteligencji, osiągnęły w poprzednich 12 miesiącach łączny zysk netto na poziomie 615 mld dol. To wynik o 25 proc. wyższy niż rok wcześniej. Przychody zwiększyły się o 15 proc., do 2,4 bln dol.

Tak dobre bieżące rezultaty w połączeniu z korzystnymi prognozami dalszej poprawy wyników finansowych w najbliższych dwóch latach sugerują, że sytuacja rozwija się w kierunku optymistycznego scenariusza. Oddziaływanie

sztucznej inteligencji widać też w szybkim wzroście wydajności pracy w USA – z danych Biura Statystyki Pracy wynika, że produktywność na godzinę pracy w sektorach pozarolniczych poszła w górę między I kw. 2023 r. (pod koniec 2022 r. firma OpenAI udostępniła ChatGPT) i III kw. 2025 r. o ponad 7 proc. To wynik porównywalny z tymi okresami w historii USA, gdy wydajność pracy poprawiała się najszybciej.

Pojawiają się również sygnały ostrzegawcze. Po publikacji raportu kwartalnego, w którym Microsoft poinformował o rekordowych 38,5 mld dol. zysku netto (+59 proc. w porównaniu z poprzednim rokiem), kurs akcji spadł o 10 proc. Inwestorom nie bardzo spodobało się to, że w ciągu trzech miesięcy firma wydała na inwestycje 38 mld dol., o 66 proc. więcej niż rok wcześniej. Kurs akcji jest obecnie na najniższym poziomie od kwietnia 2025 r.

Microsoft, obok Amazona, Alphabetu (właściciela Google’a), Mety (właściciela Facebooka) i Oracle, zalicza się do hiperskalerów. To firmy, które inwestują ogromny kapitał w rozbudowę centrów danych. Nakłady odzwierciedlają rosnący popyt na usługi w chmurze i specjalistyczną infrastrukturę do obsługi zadań związanych z AI. Hiperskalerzy oferują klientom ogromne moce obliczeniowe i wielkie zasoby pamięci.

W 2025 r. pięć wymienionych firm zainwestowało niemal 400 mld dol., a w obecnym zamierzają wydać ponad 500 mld dol. Jeszcze w 2023 r. ich nakłady nie przekraczały 200 mld dol. Łączne inwestycje amerykańskich przedsiębiorstw technologicznych związane ze sztuczną inteligencją są szacowane na równowartość 1,9 proc. PKB w 2025 r. Dla porównania wydatki na projekt Manhattan w szczytowym 1944 r. miały równowartość 0,4 proc. PKB. Program Apollo pochłonął 0,6 proc. PKB w 1966 r., a wydatki na rozwój sieci światłowodowej wyniosły ok. 1,2 proc. w 2000 r.

Część ekspertów kwestionuje te porównania, argumentując, że nie ma sensu zestawiać projektów finansowanych publicznie, które miały doprowadzić do konkretnego rezultatu, z dobrowolnymi inwestycjami firm prywatnych. Nikt jednak nie zaprzecza, że skala >

inwestycji jest duża i może rodzić wątpliwości co do oczekiwanych efektów. Według analityków firmy Bain, żeby nakłady te się opłaciły, w 2030 r. przychody ze sztucznej inteligencji musiałyby sięgnąć 2 bln dol. Morgan Stanley oszacował, że w 2024 r. produkty AI przyniosły 45 mld dol. Złożyły się na to abonamenty za dostęp do modeli sztucznej inteligencji oraz opłaty za korzystanie z centrów danych. W ciągu sześciu lat rynek ma urosnąć 40-krotnie.

Ekonomiści Goldman Sachs ocenili, że dzisiejsza wartość zapowiedzianych na najbliższe lata inwestycji w AI to 3,5 bln dol. W ciągu 10-15 lat pieniądze te mają dać dodatkowe korzyści, które dziś mają wartość 8 bln dol. Z tego punktu widzenia nakłady wydają się usprawiedliwione.

**D**la posiadaczy akcji firm technologicznych nawet ważniejsze od zysków są przepływy pieniędzy. Dopóki podstawowa działalność koncernu generuje tyle gotówki, by wystarczyło na pokrycie inwestycji i zostało coś jeszcze na wypłatę dywidendy, to wszystko w porządku. Sytuacja na razie jest pod kontrolą – zeszłoroczne przepływy gotówkowe hiperskalerów wyniosły ok. 500 mld dol. i były o ponad 100 mld dol. wyższe od inwestycji.

Ale ta nadwyżka wolnych środków nieuchronnie maleje. Stąd tak nerwowa reakcja w przypadku Microsoftu. Z opublikowanego przez Metę raportu wynika, że na koniec 2025 r. na rachunkach firmy znajdowało się 39 mld dol. wobec 45 mld dol. 12 miesięcy wcześniej. Różnica wydaje się niewielka, ale bilans wyglądałby inaczej, gdyby gigant nie pozyskał 30 mld dol. z emisji obligacji. To pokazuje, że nawet największe spółki będą musiały się zadłużyć, by sfinansować inwestycje. Ekspertsi przekonują, że to nie problem, a przestrzeń do zaciągania zobowiązań jest wystarczająca.

Pozostaje jedynie kwestia oprocentowania długu. Według szacunków Bank of America w ciągu najbliższych trzech lat największe firmy technologiczne wyemitują obligacje o wartości 140-300 mld dol. każdego roku. Dla porównania w latach 2020-2024 sprzedawały papiery dłużne o wartości 28 mld dol. rocznie. To nieuchronnie doprowadzi do wzrostu kosztów pożyczania pieniędzy, przede wszystkim dla mniejszych firm.

Jednym z najważniejszych graczy w obszarze sztucznej inteligencji jest OpenAI, twórca ChatGPT. Na rozbudowę centrów danych spółka planuje w najbliższych latach wydanie ponad 1 bln dol. OpenAI wciąż jest nietotowanym na rynku start-upem, a jego zeszłoroczne przychody szacowane są na 13 mld dol. W pierwszej połowie 2025 r. OpenAI miało ok. 8 mld dol. straty. Jeszcze niedawno firma prognozowała, że jej szczyt zapotrzebowania na gotówkę wypadnie w 2027 r. na poziomie 20 mld dol. Według najnowszych wyliczeń ujemne przepływy pieniężne w tej wysokości zanotuje już w tym roku, a do 2028 r. wzrosną one do ponad 40 mld dol. OpenAI przestanie spalać kapitał dopiero pod koniec dekady, gdy przychody osiągną 200 mld dol.

Spółka nie ma odpowiednich funduszy na pokrycie inwestycji, więc mu-

si szukać finansowania na zewnątrz. We wrześniu zeszłego roku OpenAI podpisało wstępną umowę z Nvidią. Producent chipów, który jest głównym beneficjentem rozwoju sztucznej inteligencji, zadeklarował 100 mld dol. na inwestycje. Za te pieniądze OpenAI ma m.in. wyleasingować chipy od Nvidii i wykorzystać je do budowy centrów danych. Jednak do końca stycznia finalna umowa nie została podpisana. Według doniesień medialnych szef Nvidii Jensen Huang nazwał podpisanie porozumienia niewiążącym i zakwestionował kwotę inwestycji.

Największą umowę na zakup mocy obliczeniowej – o wartości 300 mld dol. – OpenAI podpisało z Oracle. Analitycy agencji ratingowej Moody's zwrócili uwagę, że korporacja będzie się w najbliższym czasie szybko zadłużać, a przy tym jej przyszłe przychody w dużym stopniu są uzależnione od jednego kontrahenta. Od chwili podpisania umowy z OpenAI cena akcji Oracle spadła o ponad 50 proc.

Specyfika umów podpisanych przez OpenAI z dostawcami sprzętu – obok Nvidii i Oracle także z AMD i Broadcomem – polega na tym, że na początkowym etapie to kontrahenci mają sfinansować rozwój infrastruktury. Dopiero później spółka Sama Altmana wiąże się ze swoich zobowiązań. Około 27 proc. udziałów w firmie należy do Microsoftu.

**R**ozdźwięk między wydatkami a spodziewanymi korzyściami, który w przyszłości musi zostać usunięty, dobrze obrazuje przykład spółki CoreWeave. To pośrednik, który dzierżawi centra danych, a potem wynajmuje je firmom technologicznym. Model działania CoreWeave'u wykreował boom na sztucznej inteligencji. We wrześniu 2025 r. firma podpisała umowy z klientami – w tym z OpenAI – zapewniające jej 42 mld dol. przychodów w kilku kolejnych latach. Jednocześnie bilans spółki obciąża 15 mld dol. długu i 56 mld dol. zobowiązań z tytułu płatności za dzierżawę centrów danych. CoreWeave nie przynosi obecnie zysków. Mimo to notowania firmy wzrosły o ponad 100 proc. w stosunku do ceny, po jakiej sprzedawała swoje akcje w poprzedzającej debiut na giełdzie ofercie publicznej w marcu 2025 r.

Na razie popyt na moc obliczeniową znacznie przewyższa podaż, więc inwestorzy mają prawo zakładać, że dla takich spółek jak CoreWeave czy OpenAI wszystko dobrze się skończy. Pojawia się dodatkowe przychody i zyski, dzięki czemu będą też pieniądze na obsługę zobowiązań. Jednak założenia dotyczące przyszłości mogą być zbyt optymistyczne. Dziś każdy, kto jest w stanie pozyskać finansowanie, buduje centra danych. Zainstalowana w nich moc obliczeniowa ma wzrosnąć w USA z 8 GW na koniec 2025 r. do 44 GW w 2030 r.

Na początku wieku nadmierne inwestycje w rozwój szerokopasmowego internetu doprowadziły do gwałtownego spadku cen za dostęp do sieci. Kursy na Wall Street załamały się, plany inwestycyjne firm zostały ograniczone, a w 2001 r. gospodarka znalazła się w recesji. Wielu ekspertów dopuszcza powtórkę tego scenariusza, choć na ogół jeszcze nie w 2026 r. ©

# Świat

## To nie będzie koniec wojny

**Dobra wiadomość: lada moment może się okazać, że zmuszenie Rosji do przerwania działań wojskowych przeciwko Ukrainie oraz do zawarcia pokoju jest w zasięgu ręki. Zła: to i tak nie wystarczy, by nasza część świata stała się bezpiecznym miejscem**

Witold

Sokała

Dwanaście lat po zbójckiej napaści na Krym i Donbas, niemal cztery lata po jawnej i pełnoskalowej agresji na resztę Ukrainy Rosja znajduje się w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Owszem, dzięki imponującej mobilizacji wszelkich posiadanych rezerw oraz szczęśliwym splotom okoliczności zewnętrznych – w kilku przypadkach dyskretnie wspomaganym przez rosyjskie służby specjalne – Kremlowi wciąż udaje się unikać spektakularnego krachu, ale podskórne procesy dzieją się nieubłagane. I sprawiają, że rozstrzygnięcie konfliktu rosyjsko-ukraińskiego może być bliższe, niż się w tej chwili wydaje. Upiorny „dzień świstaka”, czyli powtarzanie w kółko tego same-



## ANALIZA

go scenariusza obejmującego negocjacje, obietnice, nowe warunki i eskalacje zbrojne, może się niespodziewanie zakończyć. Jeśli nie za tydzień, to za miesiąc albo za pół roku. To zaś oznacza, że potrzebujemy pilnej refleksji nie tylko o tym, co zrobić, by armaty zamilkły, ale także o tym, co dalej. Szczególnie jeśli chcemy, by pokój miał charakter trwały.

## Równia mocno pochyła

Plan Putina i spółki zakładał faktyczne unicestwienie Ukrainy i danie nauzki innym potencjalnym buntownikom na obszarze dawnego ZSRR. Tymczasem pod presją agresora Ukraińcy skonsolidowali swą państwowość i zbudowali silny fundament wspólnej, narodowej tożsamości ponad starymi podziałami – na bazie antyrosyjskich emocji i prozachodnich aspiracji. Front tymczasem utknął, widoki na poważny przełom operacyjny, a nawet na jakiś rzeczywisty sukces taktyczny Rosjan są, zdaniem większości specjalistów, minimalne. NATO, zamiast zostać odrzucone, przesunęło się bliżej rosyjskich granic i – mimo olbrzymich wewnętrznych napięć – wciąż jest efektywną platformą koordynacji dla zachodniej wspólnoty strategicznej. Europa raczej trwale znalazła sobie alternatywę dla surowców energetycznych z Rosji, co oznacza dla Kremla gigantyczne straty finansowe i polityczne. W dodatku (późno i powoli, czasem niezbyt udolnie, ale jednak na serio) liczne państwa Starego Kontynentu wzięły się do rozbudowy swych zdolności militarnych. Inne kluczowe rejonu bezpośrednio sąsiadztwa, czyli Zakaukazie i Azjatycki interior, także wymykają się Moskwie z rąk, bowiem uwikłanie niemal wszystkich sił w Ukrainie uniemożliwiło aktywne wsparcie tamtejszych sojuszników, skłaniając ich do awaryjnego szukania nowych partnerów.

Awanturnictwo Putina rujnuje Rosję także od środka. Straty ludzkie oscylują wokół miliona, w niektórych wspólnotach lokalnych przekraczają te z czasów Wielkiej Wojny Ojczyźnianej (jak w Rosji tradycyjnie nazywa się tę fazę II wojny światowej, w której ZSRR walczył już przeciwko Hitlerowi, a nie razem z nim). Piramida demograficzna została ostatecznie zaburzona. Gospodarka cywilna, skanibalizowana przez sektor militarny i dociśnięta sankcjami, ledwie dyszy. Inflacja, czyli także wzrost cen konsumpcyjnych, daje się we znaki coraz wyraźniej. Zaskórniaki, schowane niegdyś w państwowych funduszach rozwojowych, już praktycznie skonsumowano, a remonty podstawowej infrastruktury pozostają w sferze marzeń, co aktualna zima ujawnia z całą ostrością. Zwykli Rosjanie w prywatnych rozmowach niekiedy żartują, z wisielczym poczuciem humoru, że z usług publicznych działa jeszcze tylko jedna, mianowicie propaganda – a i ona jest coraz gorszej jakości. I nie chodzi tylko o to, że przekaz jest tak toporny, że ociera się o śmieszność, lecz również o to, że mimo desperackich prób zagadania problemu ludzie zobaczyli skalę niekompetencji i korupcji aparatu władzy, szokującą nawet przy tradycyjnie niskich standardach rosyjskich. Oto i tak mocno niepełny obraz równi pochyłej.

## Pozostał głównie blef

Mimo to Kreml wciąż pręży chuderlawe muskuły. Trochę na użytek wewnętrzny, bo to przecież kwestia legitymizacji władzy, i niektorzy wciąż się nabierają. Trochę po to, by zastraszyć przeciwników – i dzięki temu rzutem na taśmę wydrzeć im jak najwięcej z nadzieją, że to pozwoli jakoś zamaskować porażkę. Również po to, by nie utracić resztek autorytetu w rozgrywce glo-

balnej, by wciąż wydawać się poważnym partnerem dla różnych watażków na tzw. globalnym Południu i niektórych cynicznych biznesmenów i polityków w państwach Zachodu.

W kategoriach coraz bardziej rozpaczliwego blefu można traktować choćby niedawną falę ataków na ukraińską infrastrukturę, buńczuczne oświadczenia o gotowości do nieograniczonego wyścigu zbrojeń nuklearnych czy okresowe groźenie państwom Zachodu jakimś straszliwym odwetem militarnym. A także, w gruncie rzeczy, wielomiesięczne symulowanie dobrej woli w rozmowach z Amerykanami, czyli stwarzanie wbrew twardym faktom wrażenia, że Rosji nigdzie się nie spieszy, bo przecież wygrywa wojnę.

Brutalna prawda jest jednak taka, że pętla wokół Putina i jego zbójczej ekipy zaciska się coraz ciasniej. Przede wszystkim dlatego, że Zachód wreszcie zdobył się na wysiłek, by odciąć zewnętrzne wsparcie dla rosyjskiego reżimu. Iran został na tyle mocno przyciśnięty na swoim podwórku, że prawdopodobnie wyzerował pomoc militarną. Indie, postraszone kijem w postaci cel i zachęczone marchewką korzystnych umów handlowych z Unią Europejską i Stanami Zjednoczonymi, są bliskie ostatecznej rezygnacji z rosyjskiej ropy, czyli i tutaj zanosi się na wyschnięcie strumienia gotówki, niezbędnej dla dalszego finansowania wojny (o zrównoważeniu budżetu Federacji Rosyjskiej nawet już nie wspominając). Efektowna dekapitacja wenezuelskiego reżimu Nicolasa Madury i rosna-

ca presja USA na Kubę, w połączeniu z odwojowaniem innych przyczółków w Ameryce Łacińskiej (patrząc: niedawne obiecujące rozmowy Donalda Trumpa z lewicowym przeciwczyntem Kolumbii Gustavem Petro), dramatycznie redukują wpływy osi zła na półkuli zachodniej. Mimo zawirowań i niekonsekwencji Amerykanie (trochę rywalizując, a trochę współpracując z europejskimi sojusznikami) stopują rosyjskie aspiracje w Lewancie i Afryce Subsaharyjskiej. Główne arabskie potęgi naftowe, na czele z Arabią Saudyjską, generalnie sprzyjają amerykańskiej polityce zbijania cen ropy, a wobec Rosji ograniczają się co najwyżej do okazjonalnych ciepłych słów, bo wiedzą, że zarówno lukratywnego biznesu, jak i wojskowego bezpieczeństwa trzeba szukać gdzie indziej.

## Niekonsekwencje Trumpa

Przy okazji – sprawdza się dobra rada, by zwracać mniejszą uwagę na to, co mówi prezydent USA, a większą na skutki realnych działań supermocarstwa. Tak, niedawne słowa Trumpa, de facto akceptujące kolejne ataki Rosji na ukraińską infrastrukturę cywilną, są co prawda obrzydliwe moralnie i przeciwskuteczne politycznie – bo dają Rosjanom nadzieję, że Waszyngton jednak znów weźmie ich stronę, a przez to spowalniają i osłabiają proces wybijania im z głowy imperialnych mrzonek. Jednocześnie Amerykanie kasują jednak kolejne rosyjskie wpływy i przyczółki w krajach trzecich, a w samych Stanach Zjednoczonych rosna wpływy tej frakcji Partii Republikańskiej, która coraz śmiej mówi o dostarczeniu Ukrainie broni dalekiego zasięgu, w tym osławionych rakiet Tomahawk.

Na to nakładają się wewnętrzne problemy i dylematy Chin – głównego sojusznika i faktycznego sponsora reżimu Putina. Przesilenie wewnątrz aparatu władzy, związane ze spektakularnymi dymisjami i aresztowaniami, zapewne na jakiś czas paraliżuje Iwiał część zdolności ofensywnych Państwa Środka. Siłowa akcja przeciwko Tajwanowi nie wchodzi na razie w grę, a tylko przy takim scenariuszu walczący w Europie Rosjanie są naprawdę użyteczni – jako dywersant odciągający uwagę i potencjał militarny państw Zachodu. Xi Jinping sporo zainwestował w Rosję, w jakimś stopniu żyruje agresywną politykę Putina, ale dalszych granic już raczej nie może przekroczyć. Zbyt wiele (przynajmniej ekonomicznie) ma obecnie do stracenia w relacjach z USA, Unią Europejską, Wielką Brytanią, Kanadą czy Australią. Tymczasem szarże amerykańskiego prezydenta, konfliktujące Stany z innymi państwami Zachodu, gwałtownie zwiększyły chińskie nadzieje na intratne i perspektywiczne interesy z „antytrumpistami”. Jeśli ten trend się utrzyma, to Pekin zyska na nim więcej niż na dalszym nadmierne otwartym wspieraniu dyktatora z Kremla.

Jest wysoce prawdopodobne, że w tej sytuacji Chińczycy nadal będą kupować jak najtaniej tyle rosyjskich >

Dруга рунда негосуджасцн мнэду Роснэ а Украннэ. Абу Забн в Знедносчоннх Емнратасх Араскскнх, 4 лутего 2026 р.



FOT. WAM/XINHUA NEWS AGENCY/FORUM

surowców, ile się da, bo to jest w ich własnym interesie – ale to nie rozwiązuje przecież narastających problemów Rosji. Na osłodę będą kolejne słowa o strategicznym partnerstwie, takie jak podczas śródowej wideorozmowy Xi z Putinem, de facto tylko maskujące chińską niechęć do silniejszego zaangażowania w wojnę po stronie Rosji oraz gotowość do ostatecznego położenia łapy na rosyjskich zasobach, gdy tylko nadarzy się okazja.

W tej sytuacji nie należy już lekceważyć wymuszonego przez Waszyngton bezpośredniego dialogu rosyjsko-ukraińskiego. Niezależnie od wyników rozmów w Zjednoczonych Emiratach Arabskich, toczonych w mijającym tygodniu, kolejne tury mogą przynieść nagłą zmianę. Warunek: Putin musi wreszcie dojrzeć do akceptacji przegranej i zamiast skupiać się na przedłużaniu swojej wojny, poszukać dróg możliwie komfortowego wydostania się z pułapki. Możliwe, że najpierw Narendra Modi, zawierając umowy z USA i UE, a następnie Xi Jinping, rozwiewając złudzenia co do rzeczywistej strategii Pekinu, właśnie go do tego znacząco przybliżyli.

Możliwe też, że wielu rosyjskich polityków już to wie. Poszlaki to np. nasilone ostatnio prace nad trwałym zacieraniem śladów zbrodni – betonowanie i przykrywanie infrastrukturą masowych grobów m.in. w Mariupolu i innych okupowanych miastach. To może być zabezpieczenie przed odpowiedzialnością, akurat na nowe, „pokojowe” czasy.

## Chęć zemsty

Paradoksalnie, im dłużej Putin będzie swymi sztuczkami zwodził Trumpa – czyli im dłużej jego kraj będzie krwawił na froncie, podlegał coraz silniejszym uderzeniom ukraińskim w zaplecze, cierpiał bezpośrednio i pośrednio skutki zachodnich sankcji – tym przyszła pozycja Rosji będzie słabsza, a ryzyko ponownego rzucenia przez nią poważnego wyzwania Zachodowi stanie się mniejsze. Owszem, wzrośnie prawdopodobieństwo pełnej wasalizacji względem Chin. I to też jest powód, dla którego wewnątrz rosyjskiej elity władzy może narastać cicha presja na kierownictwo, by z wojny w Ukrainie jednak się jakoś wyplątać.

Niestety, niewiele jest na razie przesłanek, by ów hipotetyczny, ale coraz bardziej prawdopodobny pokój uznać za trwały i stabilny. Także dlatego, że ta bardziej racjonalna część rosyjskich elit, nie tylko z resortów siłowych, w gruncie rzeczy przecież potraktuje ewentualne przerwanie walk nie jako trwałą kapitulację czy element fundamentalnego przewartościowania politycznego, lecz jako pauzę, czas na posprzątanie podwórka i odbudowę sił, by przystąpić do nowej, lepiej przygo-

towanej rozgrywki. Będzie chodzić o to, by unikając błędów Putina, uzyskać z grubsza te same cele – żeby spacyfikować obszar postradziecki, podzielić i osłabić Zachód, powrócić do roli realnego imperium.

Nierealne? Zapewne tak, ale to nie znaczy, że Rosjanie i tak nie spróbują. Może i nie wygrają, ale na pewno dostarczą nam poważnych problemów. Spora część zachodnich elit politycznych im w tej próbie pomoże, nawet nieświadomie. Z cynizmu, niekompetencji, kunktatorstwa. Zaślepieni miarą krótkoterminowych zysków biznesmeni, zależni od nich politycy, skorumpowani działacze piłkarscy i artyści, eksperci i „eksperci” zainteresowani albo grantami opłacanymi przez rosyjski wywiad, albo po prostu chwilowym rozgłosem – lista potencjalnych „pożytecznych idiotów” jest długa.

Po zawarciu porozumienia pokojowego – przynajmniej przez dłuższy czas – klasyczne narzędzia militarne raczej nie będą dla Rosjan atrakcyjne. Z ich punktu widzenia lepiej będzie spokojnie i po cichu łątać swoje zasoby w tym zakresie, czekając, aż Europejczykom przejdzie ochota na zwiększanie wydatków na zbrojenia. A to się stanie, można iść o zakład, gdy na ukraińskim stepie zamilkną armaty, a na zbiorową wyobraźnię przestaną działać obrazki cywilów zabijanych tuż u granic UE. I rosyjskich rakiet, wycelowanych w europejskie stolice. Niedźwiedź schowa na jakiś czas pazury i będzie udawał gołąbka.

Dużo tańsze niż te klasyczne, wojskowe, są tzw. asymetryczne środki agresji. I działają bardziej dyskretnie, czyli w mniejszym (lub wręcz zerowym) stopniu narażają sprawcę na odwet. To nimi będziemy punktowo atakowani. Rosja ma w tym wprawę, instrumentarium wymaga tylko lekkich modyfikacji. A przecież dla Rosjan otworzą się nowe możliwości. Najpierw nieuniknione w tej sytuacji zniesienie lub poluzowanie sankcji ekonomicznych. Potem przyjdzie czas na powrót Moskwy do wielu organizacji międzynarodowych. Będzie współpraca kulturalna, naukowa, sportowa... I spadnie czujność zachodnich polityków, służb i opinii publicznej. Tyle że sen o końcu konfliktu będzie udziałem tylko jednej strony. Druga będzie żyła marzeniem o zemście za doznane upokorzenie.

## Kijów, Waszyngton i my

Ale nie tylko Rosja będzie w powojennych realiach generatorem zagrożeń i wyzwań. Niestety, również Ukraina. To, czy i w jakim stopniu wykorzysta ona pokojową dywidendę, może się okazać kluczowe dla bezpieczeństwa – nie tylko regionalnego.

W pozytywnym scenariuszu wojenna konsolidacja narodu zostaje podtrzymana, niezbędne rozliczenia personalne dokonane demokratycznie i na drodze prawa, zagraniczne inwestycje przyniosą rozwój i dobrobyt, przyspieszy zwalczanie korupcji i negatywnych wpływów oligarchii, a zwińczeniem tych wszystkich cudów stanie się szybka i bezkonfliktowa integracja z UE. Cóż, dużo tu niebezpiecznych wiry i porohów do pokonania. Znacznie bardziej realistyczny jest więc – niestety! – scenariusz pesymistyczny, związany z tym, że przynajmniej część z wymienionych zadań zakończy się porażką lub przynajmniej buksowaniem. Przy wzmacnianiu negatywnych nastrojów przez Rosjan (a to można obstawiać w ciemno) efektem będzie kompromitacja kolejnych rządów, narastająca frustracja społeczna, wzrost populizmu, a wreszcie – być może – pojawienie się przemocy politycznej, sztucznie podsycane konflikty z zachodnimi sąsiadami, może nawet wyborczy sukces partii realnie (bo raczej nie formalnie) prorosyjskiej (na wzór np. gruziński) i w finale zaprzepaszczenie wieloletnich wysiłków, by wyrwać się ze strefy wpływów Moskwy. Byłaby to katastrofa dla Ukrainy, ale także dla Europy.

Niestety, jeśli w Waszyngtonie nie nastąpi tymczasem jakaś znacząca reorientacja polityczna, to Amerykanie wcale nie będą takiemu scenariuszowi aktywnie przeciwdziałać. Ba, mogą go nawet przybliżyć, np. zbyt brutalnie forsując interesy swoich korporacji kosztem innych podmiotów i – przede wszystkim – ukraińskich pracowników i klientów. Także poprzez opartą na starej zasadzie „divide et impera” politykę balansowania wpływów rosyjskich i europejskich w regionie. Zarówno po Trumpie, jak i po jego możliwych następcach nietrudno się tego spodziewać.

W Moskwie zapewne już od dawna są pisane takie scenariusze. Zespoły fachowców „na wszelki wypadek” dobierają odpowiednie do nich narzędzia. Decydenci w odpowiednim momencie dostaną je jako gotowe do użycia. To profesjonalny elementarz. Stosują go zapewne również Chińczycy, patrzący na nasz region jako na istotny element szlaków logistycznych oraz potencjalną bazę inwestycyjną. Co do obecnej administracji amerykańskiej, można mieć wątpliwości, czy zadaniowała w tym kierunku swe instytucje eksperckie, ale wielkie korporacje raczej czynią odpowiednie przygotowania. Nie po to jednak, żeby nam było ciepło i bezpiecznie, ale by zabezpieczyć własne interesy. To samo dotyczy też sporej liczby podmiotów europejskich, państwowych i niepaństwowych.

Wypada zakończyć apelem, by tym razem państwo polskie nie pozostało w tyle. Mamy sporo do przemyślenia i diablo mało czasu na skuteczne wdrożenie właściwych rozwiązań w kilku dziedzinach – od sił zbrojnych przez wywiad i kontrwywiad, policję i wymiar sprawiedliwości aż po edukację czy inne polityki publiczne. Bo gdy już faktycznie wojna w Ukrainie zostanie przynajmniej zawieszona, nie będzie to bynajmniej oznaczać „końca historii”. Wręcz przeciwnie, wydarzenia mogą gwałtownie i zaskakująco przyspieszyć. ©

# Milion euro na plusie

Swiatłana Cichanouska przenosi się do Warszawy. Ma doskonałe relacje z Nawrockim i Tuskiem

Michał

## Potocki

korrespondencja z Wilna

Swiatłana Cichanouska przeprowadza się do Warszawy, bo władze w Wilnie pozbawiły ją kosztującej 1 mln euro rocznie ochrony. Decyzja oficjalnie wynikała z przyczyn finansowych, ale poprzedziła ją antybiałoruska nagonka w serwisach społecznościowych, która wpłynęła na nastroje społeczne. Nagonka podobna do tej, która w Polsce dotyczy Ukraińców. – Litwa nie poddała utrzymaniu białoruskiego rządu na uchodźstwie. Polska ma większe możliwości, choćby mocniejsze kadrowo MSZ – mówi jeden z wileńskich rozmówców DGP.

28 stycznia. Na skrzynki pocztowe urzędników litewskiego urzędu prezydenckiego, polityków z Sejmu i wpływowych dziennikarzy przychodzi e-mail. Nadawca to niejaki Vaidotas, adres założony na Gmailu. Autor dowodzi, że białoruska opozycja zawłaszcza litewską tożsamość narodową, przejmując Pogoń, godło przedstawiające rycerza na koniu. Pogoń, po litewsku Vytis, a po białorusku Pahonia, znana od czasów Wielkiego Księstwa Litewskiego, jest przez oba narody uważana za własny symbol. Białoruś i Litwa po odzyskaniu niepodległości w 1991 r. równolegle uznały rycerza za godło, co wywoływało spory w relacjach dwustronnych. Odkąd Aleksandr Łukaszenka przywrócił nieco zmodyfikowaną symbolikę radziecką, do Pahoni odwołuje się głównie prozachodnia opozycja.

## Kradzież tożsamości

Spór eskalował na nowo w 2023 r., gdy Biuro Swiatłany Cichanouskiej (OSC) zaprezentowało projekt paszportów Nowej Białorusi. W najambitniejszym, niezrealizowanym założeniu miały one

Nie tylko Rosja będzie w powojennych realiach generatorem zagrożeń. Również to, czy i w jakim stopniu Ukraina wykorzysta pokojową dywidendę

## KORESPONDENCJA

zostać wydane Białorusinom, którym oficjalne dokumenty wygasły, a którzy z obawy przed represjami nie mogli wrócić do Mińska, by wyrobić nowe. Na okładce paszportu Nowej Białorusi widniała Pahonia. Litewscy nacjonaliści uznali to za przywłaszczenie kulturowe i przejaw tzw. litwinizmu – tak nad Wilią określa się pogląd, że historia WKL jest w istocie historią pierwszej białoruskiej państwowości. Wyznająca go białoruska prawica bazuje na geografii Wielkiego Księstwa, które w większości składało się z obecnych ziem białoruskich, oraz na fakcie, że jego językiem urzędowym był ruski, z którego potem rozwinęły się białoruski i ukraiński (rosyjski wyodrębnił się wcześniej).

W wersji internetowej radykałów jest to równoznaczne z roszczeniami opozycji do Wileńszczyzny. Vaidotas żeruje na tych lękach. „Biuro Cichanouskiej wybrało budowę narodowej tożsamości Białorusi opartej na rosyjskiej litwinistycznej dezinformacji, która prowadzi do kulturalnego powrotu w rosyjską orbitę. Białoruska opozycja wpadła w rosyjską pułapkę” – czytamy w wiadomości. W innym e-mailu, rozesłanym 18 stycznia, anonimowy autor pyta zatroskany, „dlaczego litwinistyczna opozycja kradnie nam litewskiego poetę Adomasa Mickievičiusa”. „Jeśli Cichanouska przenie się do Polski i nadal będzie się angażować w litwinizm, przywłaszczając nasz Vytis, nasze państwo powinno powiadomić Polskę o kradzieży godła państwowego Litwy. Nie da się siedzieć na dwóch krzesłach, cieszyć się poparciem Litwy i kraść jej tożsamość narodową” – pisze. I podaje przypadki, gdy działacze mówili np. o białoruskich korzeniach Adama Mickiewicza.

– Ten człowiek regularnie przesyła na adresy najważniejszych postaci litewskiego życia publicznego sprawozdania dotyczące treści z białoruskich mediów demokratycznych – od Biełsatu po portale internetowe – które mogą się wydawać kontrowersyjne dla litewskiego odbiorcy – mówi nasz rozmówca z Wilna, związany z białoruskimi instytucjami demokratycznymi. – Wszystko wyrwane z kontekstu i podane w sposób sugerujący odpowiedzialność Biura Cichanouskiej za to, co mówi np. Zianon Pazniak. Litwini nie muszą przecież wiedzieć, jaką niechęcią Pazniak darzy Cichanouską. Można oczywiście wierzyć, że to osoba kruczata jakiegoś frustrata, ale dla mnie to na kilometr pachnie operacją KGB – dodaje.

Rozmówca dowodzi, że tezy porbrzmiewające w e-mailach Vaidotasa powtarza część polityków. Takich jak Vytautas Sinica, poseł, lider opozycyjnego Sojuszu Narodowego, jeden z adresatów wiadomości Vaidotasa. Sinica latem 2025 r. poskarżył się w prokuraturze na Siarhieję Cichanouskiego, świeżo wypuszczonego z białoruskiego więzienia męża Swiatłany, który sam zamierzał kandydować w wyborach prezydenckich w 2020 r. Cichanouski opowiadał o konieczności tworzenia „wysepka białoruskości” na wygnaniu, co narodowiec uznał za zapowiedź walki o autonomię i zamach na integralność terytorialną Litwy. Sinica za-



Swiatłana Cichanouska na spotkaniu z prezydentem Karolem Nawrockim, 13 stycznia 2026 r.

rzucił wówczas Cichanouskim, że „nie potępiają litwinizmu, za to wzywają Sejm do poszukiwania historycznej prawdy o WKL, tak jakby Litwa jej jeszcze nie znalazła”.

## Antybiałoruskie nastroje

Spory o tożsamość Mickiewicza czy o to, kto ma prawo korzystać z Pogoni długo należały do politycznego folkloru. W 2020 r., po stłumieniu antyrządowych protestów i rozpoczęciu masowych represji na Łukaszenkowskiej Białorusi, elity opozycyjne nie miały wątpliwości, że centrum nowej diaspory powinno powstać w Wilnie. Miasto leży raptem 30 km od białoruskiej granicy, jest historycznym ośrodkiem białoruskiej inteligencji, a Litwa pod rządami prezydenta Gitanasa Nausėdy i premier Ingridy Šimonytė nie miała wątpliwości, że i dzisiejszej opozycji należy pomóc. Zmiana władzy w grudniu 2024 r. oraz powolna zmiana nastrojów społecznych sprawiły, że to wsparcie nie jest już tak oczywiste. Nausėda i obecny szef MSZ Kęstutis Budrys zachowywali się lojalnie wobec Cichanouskiej. Ale wewnątrz koalicji rządzącej znaleźli się ludzie, którzy grali na wypchnięcie jej z kraju.

Rozmówcy DGP wymieniają w tym gronie trzy osoby. Remigijus Žemaitaitis jest najbardziej oczywistą z nich. Znany z antysemickich wypowiedzi lider skrajnie prawicowego Świtu Niemna ku oburzeniu liberalnej części opinii publicznej został zaproszony do współzrządzenia przez socjaldemokratów z LSDP, którzy w 2024 r. wygrali wybory. Žemaitaitis od lat zarzucał Cichanouskiej znaną skądinąd „niewdzięczność” i dowodził, że Wilno nie powinno utrzymywać jej biura. – Jego wpływ na decyzje w tej kwestii jest rozdmuchiwany, ale przyczynił się do ogólnej atmosfery – przyznaje rozmówca znający szczegóły relacji z białoruską opozycją. Większy wpływ mieli liderzy socdemów. Jak słyszymy, decyzję o odebraniu ochrony podjęła szefowa rządu Inga Ruginienė. Poparł ją p.o. prezes LSDP Mindaugas Sinkevičius i poprzedni premier Gintautas Paluckas, który w sierpniu 2025 r. po-

dał się do dymisji w atmosferze skandalu, lecz zachował wpływy w partii.

Antybiałoruskie nastroje na Litwie przypominają antyukraińskie nastroje w Polsce – i w podobny sposób są podgrzewane na platformach społecznościowych. Zmęczenie napływem imigrantów i pretensje, że wprowadzają oni do przestrzeni publicznej język rosyjski, są multiplikowane przez algorytmy, fejki i prowokacje. W sierpniu 2025 r. do prokuratury wpłynęło kontrzawiadomienie Cichanouskiego przeciwko Sinicy. Jak się okazało, pismo zostało sfałszowane, bo Cichanouscy nie zamierzali się wdawać w sądowe przepychanki z nacionalistami. Zanim to nastąpiło, prokuratura nadała sprawie bieg, wysyłając materiały do sejmowej komisji etyki. – Nie pomyślałam, że pismo mogło zostać sfałszowane, zwłaszcza że kolega Sinica nie ostrzegł nas, że to nie jest skarga autorstwa Cichanouskiego – dowodziła konserwatywna posłanka Dalia Asanavičiūtė-Gružauskienė w rozmowie z LRT.

Na murach regularnie pojawiają się białoruskojęzyczne napisy „Wilnia nasza”, choć często są wątpliwości, czy dla ich twórców cyrylica jest macierzystym alfabetem. Przed takimi prowokacjami ostrzega kontrwywiad. Departament Bezpieczeństwa Państwowego (VSD) alarmuje, że „od 2023 r. rosyjskie i białoruskie służby przeprowadzają operacje informacyjno-psychologiczne na Litwie, których celem jest podsycanie napięć na tle etnicznym między społeczeństwem litewskim a nową diasporą białoruską i odbieranie jej poczucia bezpieczeństwa”. „Organizatorzy starają się imitować działalność dwóch przeciwstawnych sił: Białorusinów promujących ideologię litwinizmu oraz grup litewskich walczących ponoć przeciwko tym pierwszym” – czytamy w komuni-

kacie VSD. Służby podały, że Moskwa i Mińsk werbują wykonawców działań takich jak napisy „Wilnia nasza” wśród bezrobotnych Litwinów i rozliczają się z nimi w kryptowalucie Tether.

## Większy obrazek

W październiku 2025 r. Cichanouska została powiadomiona o odebraniu ochrony jej Biura. Jak mówi nasze źródło, z kilkudniowym wyprzedzeniem, przy czym „ochrona” nie oznaczała w tym przypadku wyłącznie opieki dwóch funkcjonariuszy wyspecjalizowanych w ochronie VIP-ów. Przez pięć lat pobytu na Litwie wokół Cichanouskiej zbudowano cały system kontroli, zabezpieczający ją przed prowokacjami ze strony białoruskich i rosyjskich służb, włącznie z elementami infrastruktury fizycznej. Ludzie Cichanouskiej zaczęli w panice alarmować litewskich polityków, w efekcie czego udało im się nieco zyskać na czasie. Liderka opozycji nie mogła jednak opuszczać Litwy; wyjątkiem była styczniowa wizyta w Polsce.

Teraz Wilno postawiło na swoim. Decyzję argumentowano na wiele sposobów. Dominował wątek finansowo-oszczędnościowy, ale dowodzone też, że Cichanouska nie odniosła sukcesu w walce z reżimem, nie nauczyła się litewskiego, ignorowała miejscowe życie polityczne, a nawet przekonywano, że skoro w 2020 r. wygrała wybory, to w 2025 r. jej kadencja się skończyła. – Celowo nie angażowaliśmy się w miejscową politykę, żeby nie zarzucano nam stronniczości – odpowiada osoba z otoczenia liderki. – Oszczędzimy trochę pieniędzy, ale gdzieś tu się gubi większy obrazek – kręci głową Vytis Jurkonis, szef wileńskiego biura Freedom House. – Nie oceniam tego jako dramatycznego błędu, raczej jako pomyłkę w kalkulacjach. Cichanouska dalej może liczyć na Litwę – i sama o tym wie. Z drugiej strony niektórzy ludzie z jej otoczenia też się mylili, traktując wsparcie jako dane raz na zawsze – dodaje.

– OSC było atutem Litwy, bo ułatwiało Wilnu udział w rozmowach o bezpieczeństwie w regionie. Teraz to tracimy – dodaje Mariusz Antonowicz, politolog z Wilna. Cichanouska w tym tygodniu przeności się do Warszawy. – Myślałam, że powracając do ojczyzny przyjdzie mi z Wilna. Ale nasz poziom ochrony na Litwie się zmienił. Nie chodzi tylko o moje osobiste bezpieczeństwo, lecz o pracowników naszego Biura. To zmusiło mnie do poszukiwania innych rozwiązań i reorganizacji naszej działalności – powiedziała „Rzeczpospolitej”. Na Litwie można usłyszeć, że zmuszając Cichanouską do opuszczenia kraju, władze szykują się do resetu relacji z Łukaszenką. Opozycjonistka wyjeżdża w czasie negocjacji amerykańsko-białoruskich, dzięki którym uwolniono niektórych więźniów politycznych. Część litewskich kręgów biznesowych mających wpływ w LSDP liczy, że w ten sposób Mińsk wróci do wysyłki produktów w świat przez litewski port w Kłajpedzie. ▷

## Boksyerska chemia

Na razie relacje dwustronne są dalekie od poprawnych. Gdy Warszawa przy mierzała się do otwarcia niektórych przejść granicznych z Białorusią, Wilno swoje zamykało. Powód? Białorusini wysyłają nad Litwę balony ze szmuglowanymi papierosami, regularnie zmuszając wileńskie lotnisko do zamknięcia i powodując straty finansowe. W styczniu szef reżimowego MSZ Maksim Ryżankou przedstawił Polskę jako „państwo, które postrzega się jako prawdziwy lider regionalny i robi wszystko, by taki status osiągnąć, prowadząc pragmatyczną politykę”. A Litwa? – To kraj, w którym politycy nie myślą o własnym narodzie. Zawdzięczając stanowiska brukselskim i waszyngtońskim ośrodkom, i robią wszystko, co one im nakazują. Kiedy otworzy się okno możliwości dla wznowienia współpracy, trzeba będzie przemyśleć, jak bardzo je otwierać i czy w ogóle warto – dodał w rozmowie z agencją BiełTA.

– Byliśmy z Polakami dogadani już w październiku – mówi rozmówca z otoczenia Cichanouskiej. Nieoficjalnie ustaliliśmy, że rządy Mateusza Morawieckiego i Donalda Tuska sondaowały w OSC, czy biuro nie zechciałoby się przenieść nad Wisłę, gdyby w Wilnie coś poszło nie tak. Gdy tak się faktycznie stało, uzgodnienia nie trwały długo. Jak słyszymy, Cichanouska nie wybrała jeszcze miejsca na nową siedzibę. Reprezentacyjny budynek użytkowany przez Białoruski Dom w Warszawie wymaga remontu, który mógłby pochłonąć nawet 1 mln euro i wymagałby sporo czasu. Na początku lutego otoczenie Cichanouskiej chce w porozumieniu z polskimi władzami zdecydować się na jakiś wariant docelowy. Działacze są nastawieni optymistycznie. Uważają, że w przeciwieństwie do Ukraińców Białorusini w Polsce nie budzą kontrowersji. Liczą, że sama obecność Cichanouskiej powstrzyma ograniczanie pomocy dla diaspory, czego przejawem były problemy finansowe Białoruskiego Domu i ograniczanie samodzielności Bielsatu w ramach Telewizji Polskiej.

Jak twierdzi nasz rozmówca, dobre relacje z rządem Donalda Tuska zostały nawiązane wcześniej, a teraz udało się nawiązać dobre kontakty z Kancelarią Prezydenta Karola Nawrockiego. W styczniu Cichanouska gościła na noworocznym spotkaniu Nawrockiego z diasporą białoruską. Tradycję zapoczątkował Andrzej Duda, a jego następca ją kontynuuje. – Patrę na pana wiceministra [spraw zagranicznych] Wojciecha Zajączkowskiego, przedstawiciela rządu polskiego, i chcę z tego miejsca państwu zapewnić, że w Polsce istnieje konsensus, kompromis w odniesieniu do stosunku Polaków, prezydenta Polski i polskiego rządu do niepodległościowych i suwerennych aspiracji Białorusinów – mówił prezydent. Nawrocki rozmawiał też z Cichanouską w węższym gronie. Jak słyszę od osoby znającej szczegóły rozmowy, „jest między nimi chemia, także dzięki temu, że Swiatłana interesuje się boksem”. ©



## Kraj cichej przemocy

**W Izraelu narasta fala zabójstw kobiet. Większość Żydówek ginie z rąk swoich mężów. W społeczności arabskiej za przemoc najczęściej odpowiadają członkowie najbliższej rodziny**

Nina

### Nowakowska

Ina Danilow to pierwsza kobieta zamordowana w tym roku w Izraelu. 5 stycznia media obiegła informacja, że 49-latka została zadżgana nożem we własnym mieszkaniu w miasteczku Pardes Channa na północy kraju. Pod zarzutem zabójstwa aresztowano jej męża. Ze wstępnych ustaleń wynika, że tragedię poprzedziła rodzinna awantura. Służby ratunkowe zawiadomiła dwudziestokilkuletnia córka, która przebywała w mieszkaniu razem z dziesięcioletnim bratem. „Początkowo policja potraktowała to jako «sprawę kryminalną», ale tego typu morderstwa powinny być kwalifikowane przez rząd i policję jako kobietobójstwo, czyli zabójstwo kobiety dokonane przez męż-

czynę, dlatego że jest kobietą” – komentowała na łamach „The Jerusalem Post” prof. Shalva Weil, kierująca Izraelskim Obserwatorium Kobietobójstwa (IOF) na Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie.

W historii Iny Danilow powieliła się schemat systemowej znieczulicy. Z policyjnych i sądowych akt wynika, że sygnały o przemoc w rodzinie dochodziły do służb już wcześniej – Ina dwukrotnie składała skargi na agresywnego męża, w 2017 i 2018 r. Za każdym razem prokuratura umarzała postępowanie. W lutym 2025 r. policja otrzymała kolejne informacje o przemoc w domu Danilowów, lecz członkowie rodziny odmówili złożenia formalnej skargi. Sprawa zakończyła się przesłuchaniem męża Iny i tymczasowym usunięciem go z mieszkania. 49-latka osieciła piątkę dzieci.

### Tragiczny rekord

Pod koniec 2025 r. termin kobietobójstwo był odmieniany w izraelskich mediach przez wszystkie przypadki. Jak wynika z opublikowanego 25 listopada raportu Knesetu, w latach 2015–2024 w całym kraju zamordowano łącznie 269 kobiet, czyli średnio ok. 27 rocznie. Dokument ujawnia notoryczne lekceważenie sygnałów ostrzegawczych oraz poważne trudności w egzekwowaniu prawa, zwłaszcza w przypadku ofiar pochodzenia arabskiego. O podejściu władz do problemu najlepiej świadczy fakt, że na posiedzeniu komisji parlamentarnej, na którym prezentowano wnioski z raportu, zabrakło przedstawicieli resortu bezpieczeństwa, policji i więziennictwa. Według ustaleń izraelskich mediów przyczyną nieobecności była instrukcja ministra bezpieczeństwa narodowego Itamara Ben Gwira. Skrajnie prawicowy polityk miał zbojkotować posiedzenie, nazywając je „teatrem politycznym”.

Rok 2025 był wyjątkowo tragiczny – życie straciło w tym okresie 44 Izraelki powyżej 18. roku życia. Trzydzieści cztery sprawy spełniały definicję kobietobójstwa. Dla porównania: rok wcześniej zginęło 35 kobiet, z czego 23 przypadki uznano za kobietobójstwo. Analiza wykazała, że większość ofiar – 53 proc. – to Arabki, a 42 proc. Żydówki (mimo że te drugie stanowią większą część izraelskiego społeczeństwa). W blisko jednej trzeciej spraw nikomu nie postawiono zarzutów (dotyczy to 46 proc. morderstw Arabek i 9 proc. zabójstw Żydówek). W przypadkach gdy sprawca został zatrzymany, najczęściej była nim osoba z kręgu bliskich ofiary. Prawie połowa ofiar zginęła z rąk swoich partne-



Marsz przeciwko przemocy wobec kobiet, Tel Awiw, 15 października 2021 r.

den z czynników, który tłumaczy niską wykrywalność morderstw arabskich kobiet. Krewni działają w porozumieniu. Nawet jeśli część z nich nie zgadza się z wyrokiem na kobietę, są zastraszeni i odmawiają współpracy z policją – wyjaśnia dr Zielińska.

Według mojej rozmówczyni do wzrostu liczby zabójstw żydowskich kobiet przyczyniły się napięcia wywołane przez pandemię koronawirusa i długotrwałą izolację. – Doprowadziło to do nasilenia przemocy domowej. Na to nakłada się trwający od 2019 r. kryzys polityczny, który zdestabilizował kraj i utworzył drogę do władzy prawicowym radykałom, którzy antagonizują społeczeństwo. W debacie publicznej widać coraz większą tolerancję dla przemocowego języka – zauważa dr Zielińska. Jak dodaje, wzmacniają to inne czynniki, takie jak niepewność ekonomiczna. Więzi społeczne nadwerżyła również wojna w Strefie Gazy po ataku Hamasu na Izrael 7 października 2023 r. – Wojna to sytuacja kryzysowa, w której rutyna codziennego funkcjonowania zostaje zaburzona, a problemy ekonomiczne i społeczne narastają – mówi ekspertka. – Mężczyźni, którzy służyli w wojsku jako rezerwiści, po powrocie do domu mogą mieć kłopoty z pracą czy ponownym nawiązaniem kontaktu z dziećmi. To powoduje napięcia w rodzinie, choć zwykle nie prowadzi do przemocy – dodaje.

## Za Arabią Saudyjską i Rosją

W najnowszej edycji rankingu Women, Peace and Security Index (WPSI), klasyfikującego kraje pod względem dobrostanu kobiet, Izrael uplasował się na 84. miejscu wśród 181 państw – m.in. za Albanią, Rosją i Arabią Saudyjską. Trzy lata wcześniej zajął 27. pozycję. Nie oznacza to jednak, że Izrael nagle stał się krajem mniej bezpiecznym dla kobiet. Według dr Karoliny Zielińskiej spadek w rankingu w dużej mierze wynika ze zmiany metodologii. W efekcie wyniki z kolejnych lat przestały być porównywalne. Ekspertka zwraca uwagę, że wskaźnik dotyczący „braku dyskryminacji prawnej” w przypadku Izraela pozostaje na takim samym poziomie jak w trzech poprzednich edycjach zestawienia. Nowością jest m.in. dodanie wskaźnika „dostęp do sprawiedliwości”. – Weźmy przykład Królestwa Arabii Saudyjskiej, które odnotowało awans ze 102. na 63. miejsce. Mimo zachodzących w tym kraju reform trudno wytłumaczyć ten skok inaczej niż zmianą metodologii. Teoretycznie kobiety mają tam dostęp do wymiaru sprawiedliwości, ale działa on zgodnie z prawem szariatu – mówi ekspertka. I podkreśla, że największy wpływ na niską pozycję Izra-

ela miało dodanie kategorii „bliskość konfliktu”. – Wojna dotyka wszystkich, ale doświadczenia kobiet i mężczyzn się różnią. Wskaźnik ten nie mówi nic o sytuacji kobiet na tle reszty populacji. Dodanie tego wskaźnika spowodowało też znaczący spadek pozycji Ukrainy w rankingu – dodaje dr Zielińska.

Pojawiają się jednak inne sygnały pogarszającej się sytuacji Izraelki – jak opublikowany przez Instytut Van Leer w Jerozolimie Gender Index, który wskazuje na pogłębiające się nierówności płci w edukacji, na rynku pracy i w sektorze publicznym. Meraw Kohen, członkini Knesetu z ramienia partii Jest Przyszłość Ja'ira Lapid, przekonuje, że polityka obecnej władzy oznacza regres w procesie emancypacji. – Widać to na przykładzie składu samego rządu: kobiety stanowią 18 proc. ministrów, podczas gdy w poprzednim gabinecie było ich 33 proc. – podkreśla Kohen.

## Konserwatywne pomysły

Fala kobietobójstw to niejedyna niepokojąca tendencja. W ostatnich latach notuje się też coraz więcej przypadków przemocy seksualnej – w tym wobec dzieci. Tylko w 2025 r. policja zarejestrowała 11 tys. spraw, w których ofiarami były osoby nieletnie. „Mimo wielu dyskusji, konferencji, kampanii i komisji z roku na rok zgłoszeń przybywa. Stało się boleśnie jasne, że coś głęboko i fundamentalnie nie działa” – przyznała w felietonie na łamach „Times of Israel” Debbie Gross, założycielka Tahel – Crisis Center for Religious Women and Children. Tekst zakończyła apelem o powołanie ministra ds. narodowej walki z przemocą seksualną.

Zdominowany przez mężczyzn rząd – z silnym udziałem skrajnej prawicy – nie poświęca szczególnej uwagi tym problemom. – Wojna w pewnym stopniu spowodowała odsunięcie na bok kwestii społecznych – zauważa Meraw Kohen. Co więcej, za sprawą skrajnie prawicowych koalicjantów do debaty publicznej przenikają coraz bardziej kontrowersyjne pomysły. – Choć ten rząd – jakkolwiek fatalny – nie wprowadził zasadniczych zmian w sytuacji prawnej Izraelki, to widoczne są konserwatywne tendencje, jak postulat rozdzielania kobiet i mężczyzn podczas zbiorowych modlitw w żydowskie święta – potwierdza dr Zielińska.

Meraw Kohen mówi, że od początku kadencji ekipa Binjaminu Netanjahu podkopuje fundamenty wymiaru sprawiedliwości, co negatywnie przekłada się również na prawa kobiet. – Oprócz osłabienia sądownictwa cywilnego koalicja rządząca dąży do rozszerzenia kompetencji sądów religijnych. Te zaś funkcjonują pod auspicjami państwa i opierają się na prawie religijnym, które traktuje kobiety w sposób nierówny – tłumaczy posłanka. Oprócz tego do Knesetu wpłynęły projekty mogące doprowadzić do marginalizacji Izraelki w życiu społecznym, np. próby rozszerzenia segregacji płciowej w szkolnictwie wyższym. Z kolei inicjatywy na rzecz praw kobiet – takie jak kampania zachęcająca je do kandydowania w wyborach lokalnych – są blokowane.

Szczególną rolę odgrywa tu Itamar Ben Gwir, skrajnie prawicowy minister

bezpieczeństwa narodowego, kilkakrotnie skazany za podżeganie do rasizmu i wspieranie organizacji terrorystycznej. Zdaniem krytyków pod jego kierownictwem policja w niektórych obszarach działa brutalniej, a w innych – np. w sprawach przemocy domowej – nierzadko wykazuje bierność. Padają też zarzuty, że Ben Gwir wykorzystuje organy ścigania jako narzędzie polityczne.

## Systemowe zaniedbania

W listopadzie 2025 r. podczas posiedzenia komisji Knesetu organizacje kobiece wyliczały systemowe zaniedbania państwa w kwestii przeciwdziałania przestępstwom, których ofiarami są kobiety: od opóźnionych reakcji służb na zgłoszenia przez nieegzekwowanie zakazów zbliżania się po ukrywanie danych przed opinią publiczną. Do tego doszło wstrzymanie finansowania The Michal Sela Forum, organizacji działającej na rzecz zapobiegania przemocy domowej, a także blokowanie obiecanych reform. Działaczki przypomniły, że Izrael wciąż nie posiada ustawodawstwa definiującego kobietobójstwo jako odrębny typ przestępstwa ani nie ratyfikował konwencji stambulskiej dotyczącej zwalczania przemocy wobec kobiet. – Niestety, nawet pełniąc funkcję przewodniczącej komisji ds. statusu kobiet, spotkałam się z brakiem współpracy ze strony policji i ministra bezpieczeństwa narodowego. W odpowiedzi złożyłam petycję do Sądu Najwyższego, co przyczyniło się do zmiany ich zachowania. Nie pozwolę, by organy ścigania uchylały się od ustawowego obowiązku składania sprawozdań władzy ustawodawczej – mówi Meraw Kohen.

Moje rozmówczynie wskazują na jeszcze jedną ważną kwestię: coraz większą dostępność broni. Wielu członków arabskiej społeczności nabywa ją nielegalnie – nierzadko z przemytu lub rabunków w magazynach izraelskiej armii. To właśnie od kuli z takiej broni ginie większość Arabek. W żydowskiej części społeczeństwa zabójstwa kobiet na ogół mają związek z awanturą domową – ofiary giną od noża lub przez uduszenie. – Rząd rozwija programy ułatwiające dostęp do broni, aby ludzie mogli się łatwiej obronić na wypadek ataku takiego jak ten z 7 października 2023. Jednak organizacje kobiece alarmują, że osoby, które otrzymują pozwolenia, są niedostatecznie sprawdzane i szkolone – zaznacza dr Zielińska.

Izraelska opozycja obiecuje, że jeśli wygra tegoroczne wybory parlamentarne, to poważnie podejdzie do praw kobiet. Lista priorytetów jest gotowa. – Musimy zwiększyć reprezentację Izraelki w służbie cywilnej do co najmniej 50 proc. oraz wzmocnić pozycję sądownictwa poprzez uregulowanie w konstytucji zasad działania i relacji między poszczególnymi organami władzy. Musimy też zwalczać wszelkie formy wykluczania kobiet ze sfery publicznej – czy to w autobusach i na ulicach, czy to na uniwersytetach – oraz zapewnić fundusze na programy przeciwdziałania przemocy domowej. Musimy również zadbać o to, by przemoc wobec kobiet pozostała jednym z priorytetów policji i całego wymiaru sprawiedliwości – wylicza Meraw Kohen. ©

rów, 30 proc. – innego członka rodziny, a 20 proc. – kogoś znajomego. Za 59 proc. zabójstw Żydówek odpowiadał mężczyzna. W arabskiej społeczności 41 proc. sprawców stanowili członkowie rodziny, a 34 proc. – partnerzy. Ekspertki zaznaczają jednak, że dane te ukazują jedynie wy-cinek rzeczywistości.

Raport Knesetu ujawnił jeszcze inną niepokojącą kwestię: ponad jedna trzecia zamordowanych kobiet – podobnie jak Ina Danilow – wcześniej zawiadamiała organy ścigania o przemoc domowej. Formalne skargi złożyło 43 proc. ofiar żydowskich i około jedna trzecia arabskich.

## Zabójstwa honorowe

Zdaniem dr Karoliny Zielińskiej z Akademii Finansów i Biznesu Vistula przyczyny rosnącej liczby kobietobójstw są różne w zależności od grupy. – W społeczności arabskiej pierwsza przyczyna jest kulturowa. Mówimy o honorowych zabójstwach kobiet posądzonych o zachowanie niezgodne z konserwatywnymi wartościami. Mogą to być związki z mężczyznami, zamiar podjęcia studiów, plany zawodowe, rozważanie rozvodu lub kwestia orientacji seksualnej – wymienia ekspertka. Jako drugą przyczynę wskazuje przestępczość zorganizowaną, w której ścierają się organizacje o strukturze klanowej. – W społeczności arabskiej to wieloletni problem, który bardzo się nasila. W 2025 r. odnotowano 252 zabitych mężczyzn i kobiet, a od początku tego roku kolejnych kilkanaście ofiar. Co raz częściej się zdarza, że rodziny zlecają zabójstwa grupie przestępczej. To je-

# Kraj

## To armia mówi nam, czego potrzebuje i na kiedy

Noc z 10 na 11 września pokazała, jakie nowe zagrożenia są przed nami. Musimy dostosować wyposażenie Wojska Polskiego do takich sytuacji, i to szybko, a SAFE jest pod to stworzony

Z Magdaleną

### Sobkowiak-Czarnecką

rozmawia Marcin Fijołek, Polsat

Prezydent zaprasza panią na Radę Bezpieczeństwa Narodowego. Właśnie odebrałam zaproszenie. Oczywiście będę. Jeśli trzeba cokolwiek wyjaśnić w sprawie programu SAFE, to jestem do dyspozycji.

Trochę późno na debaty, prawda? Ależ one odbyły się dużo wcześniej – Biuro Bezpieczeństwa Narodowego jest informowane od początku mojej działalności, na każdym etapie tworzenia naszej wersji programu SAFE. Mieliśmy spotkania w listopadzie, w grudniu, omawialiśmy szczegóły, wszyscy powinni wszystko wiedzieć. Przedstawiciel BBN jest też zawsze obecny na spotkaniu Komitetu Bezpieczeństwa, gdzie co tydzień przedstawiam raport z postępu działań i gdzie podejmujemy kluczowe decyzje. Wniosek, który wysłaliśmy do Komisji Europejskiej, jest też w BBN. Te 300 stron opisów produktów, które wysłaliśmy do Brukseli, zawiera przecież strukturę własności przedsiębiorstw, miejsca produkcji, własności intelek-

tualnej, potencjalnej kompatybilności z systemami NATO itd. Niczego tu nie ukrywaliśmy.

A mimo to prezydent pyta o „pożyczkę zaciągniętą przez rząd”. Na jaki procent pożyczamy te pieniądze?

Na ok. 3 proc. Jest to wprost proporcjonalne do tego, jak oprocentowane są unijne obligacje na dany moment. To najtańszy pieniądz na rynku, tańszy nawet od tego, z którego kupujemy sprzęt z Funduszu Wsparcia Sił Zbrojnych.

Mimo wszystko to pożyczka, więc pytanie o opłacalność takiego ruchu jest naturalne. Pytanie jest uprawnione, ale odpowiedź jest naprawdę jednoznaczna, tym bardziej jeśli weźmiemy pod uwagę preferencyjne warunki spłaty. Przez pierwsze 10 lat płacimy wyłącznie odsetki, kapitał zaczynamy spłacać później, całą operację kończymy ok. roku 2070. I mamy dodatkowe benefity: to ogromna inwestycja w polski przemysł zbrojeniowy, nigdy nie wy-

dawaliśmy tyle w jednym momencie w naszej zbrojeniówce. Zaplanowaliśmy, że ok. 80 proc. pieniędzy z SAFE zostanie w polskim przemyśle zbrojeniowym. Czyli jest to inwestycja i w nasze bezpieczeństwo, i w gospodarkę. Poza tym dla przemysłu zbrojeniowego liczy się stabilność zamówień. SAFE je daje.

Opozycja obawia się, że to tylko żonglerka liczbami. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że pieniądze zostaną u nas, w praktyce zostaną wydane w niemieckiej zbrojeniówce. Pewnie pani widziała przestrogi Mariusza Błaszczaka...

Widziałam. Bardzo bym chciała, żeby ten temat nie był przedmiotem politycznej licytacji. Mówimy o bezpieczeństwie Polaków. Mówmy, jak jest, a mamy konkrety z listy zakupowej i planu inwestycyjnego. To ponad 130 projektów. Całość tych dokumentów była cały czas pod lupą w Biurze Bezpieczeństwa Narodowego, wszystko jest dostępne w kancelarii tajnej Sejmu, gdzie posłowie komisji obrony narodowej mogą się zapoznać ze szczegółami. Cztery piąte tych pieniędzy zostanie w polskim przemyśle. Robimy tak, jak powinno być – pozyskujemy pieniądze, tworzymy plan, wspieramy rodzimy przemysł. Uważam, że taka właśnie jest rola rządzących.

To nie zamyka sprawy. Opozycja bije na alarm, że to sztuczka, że na koniec zarobią podmioty działające na terytorium polskim, ale z zagranicznym kapitałem. Albo podwykonawcy będą wydawać te polskie pieniądze w swoich krajach. Jak to przeświecić?

Tutaj wkraczamy na pole zadań dla Agencji Uzbrojenia – to ona będzie szukać oferentów, otworzy normalne postępowanie.

To skąd wiadomo o tym wskaźniku 80 proc. dla polskiej zbrojeniówki?

Bo w niemałej części już wiemy, kto został wybrany, znamy wykonawcę – chodzi o część refinansowaną, którą już rozwijamy. Choć oczywiście będą i takie programy, jak SAN, gdzie pewne zdolności będziemy chcieli dopiero pozyskać. Ale, jak już pokazaliśmy, większość powstanie w polskim przemyśle zbrojeniowym. Naprawdę nie jest jakąś wielką sprawą wiedzieć, jakie mamy zdolności w polskim przemyśle.

Jakiś przykład?

Weźmy ten program SAN, który ma wykrywać i zwalczać nieprzyjazne drony. To jedna z pierwszych umów, która będzie sfinansowana właśnie z programu SAFE jako uzupełnienie naszych programów „Pilica” i „Narew”. To program o błyskawicznym tempie realizacji – dwa lata – i nie ma tutaj czasu, bo wojna za naszą granicą i zagrożenie są tu i teraz.

I nie ma co kryć, że sami sobie tego nie zbudujemy, bo nie mamy know-how, narzędzi, umiejętno-

ści, więc część z tych 15 mld zł na SAN trafi do Norwegów. Ile? Mniejsza część, większość trafia do naszych firm. PGZ, APS, PIT-Radwar, Zakłady Mechaniczne Tarnów, Rosomak, Jelcz, Huta Stalowa Wola, Mesko – ta lista jest długa. Natomiast opinia publiczna sama będzie mogła sprawdzić, ile i jak jest wydawane, bo przecież te projekty będą jawne. Sprawdzicie jako dziennikarze w DGP, a posłowie opozycji w komisji obrony narodowej, ile tych pieniędzy zostaje w Polsce. Według planu, który złożyliśmy w komisji, będzie to ok. 80 proc. z przyznanej nam kwoty.

Ktoś powie: gdyby to było wszystko tak oczywiste i jednoznaczne, to do programu SAFE weszliby też Niemcy. A Berlin tego nie zrobił.

Na 27 państw Unii Europejskiej do programu przystąpiło 19. Niemcy niedawno zmienili konstytucję, w tym wysokość wydatków na zbrojenia, mają wewnętrzny impuls inwestycyjny, zapewne chcą też otworzyć kanały zakupów w Stanach Zjednoczonych. Trudno mi odpowiadać za Berlin. My jesteśmy krajem przyfrontowym. Niestety, noc z 10 na 11 września bardzo dobitnie nam pokazała, jakie nowe zagrożenia są przed nami, jak szybko trzeba na nie reagować. Nasza odpowiedź np. na ataki dronowe jest na dziś niewspółmiernie droga w porównaniu z kosztami wysyłki takich dronów przez przeciwnika. Musimy dostosować wyposażenie Wojska Polskiego do takich sytuacji, i to szybko, a SAFE jest pod to stworzony. Pieniądze musimy wydać do 2030 r., co oznacza szybko realizowane kontrakty.

To kolejny potencjalny problem, co podnosi Przemysław Wipler z Konfederacji: będzie chaos, wydawanie na chybił trafił, byle wydać.

Spokojnie. Plan inwestycyjny nie powstawał na kolanie, mało tego – nie powstawał nawet w gabinetach polityków, ale wśród wojskowych. To armia mówiła nam, czego potrzebuje i na kiedy. Zadaniem mojego zespołu było przefiltrowanie potrzeb wojska przez warunki mechanizmu SAFE i szukanie furtek, by można było z niego skorzystać. To z kolei oznaczało nierzadko długie rozmowy z Komisją Europejską, by przekonać ją, że skoro jesteśmy krajem przyfrontowym, to możemy większość pieniędzy wydać na własną rękę, a nie w formie wspólnych zakupów, co preferowała KE. I także stąd ten współczynnik 80 proc. wydanych w polskiej zbrojeniówce.

Czy nasze firmy dźwigną nagle tyle zamówień, na taką skalę? SAFE i tu przychodzi z pomocą. Nie ma ryzyka, że pieniądze gdzieś się rozejdą przez te cztery lata – musimy je rozliczać w ramach kamieni milowych...

...które po KPO nie kojarzą się najlepiej.

# Rynek premium: polskie nieruchomości wciąż przyciągają kapitał

Po chwilowym wahaniu związanym z sytuacją geopolityczną zagraniczni inwestorzy znów chętnie patrzą na Polskę. O tym, co przyciąga dziś dojrzałych inwestorów i dlaczego w cenie są już nie tylko lokalizacja, ale też certyfikacja BREEAM, neuroarchitektura i innowacyjne udogodnienia – opowiada Marta Drozd-Piekarska, dyrektorka sprzedaży dewelopera Allcon



FOT. MAT. PRASOWE

**Polacy szukają sposobów na ochronę kapitału przed skutkami inflacji i nisko oprocentowanych lokat. W mediach dominuje przekaz, że masowo ruszyli na zakupy do Hiszpanii czy Włoch. Czy krajowy rynek nieruchomości traci na rzecz tych zagranicznych destynacji?**

Udział transakcji Polaków za granicą wcale nie jest tak duży, jak sugerowałyby to nagłówki. Patrząc wyłącznie na doniesienia medialne, faktycznie można odnieść wrażenie, że szala inwestycyjna przechyliła się na korzyść rynków zagranicznych. Jednak analiza twardych danych pokazuje, że nie mamy do czynienia ze znaczącym odpływem kapitału. Obserwujemy, jak zagraniczni klienci cały czas inwestują w Polsce. Nieruchomości w naszym kraju nie zniknęły z radarów dojrzałych inwestorów, którzy mądrze i precyzyjnie budują swoje portfele. Szczególnie w Trójmieście, gdzie rynek premium rozwija się bardzo intensywnie. Projekty z tego najwyższego segmentu są wyjątkowo odporne na wahania rynku.

**Wybuch wojny w Ukrainie wywołał chwilowe zamrożenie i strach. Czy ten moment minął? Co dziś przyciąga zagranicznych inwestorów do Polski?**

Sytuacja geopolityczna faktycznie miała wpływ na chwilowe zmniejszenie zainteresowania rynkiem polskim. „Chwila” trwająca prawie dwa lata to długi czas, jednak w ostatnim okresie obserwujemy wyraźny wzrost uwagi i zapytań ze strony zagranicznych klientów, szczególnie w obszarze projektów premium. Trzeba też zaznaczyć, że Trójmiasto jest wyjątkowe i nie ulega ogólnopolskim trendom, głównie dzięki swoim atutom lokalizacyjnym.

Co przyciąga inwestorów? Po pierwsze, Polska jest notowana w gronie najsilniejszych gospodarek Europy. Mamy stabilne tempo wzrostu PKB, korzystną dynamikę wynagrodzeń i niską stopę bezrobocia. Te czynniki makroekonomiczne powodują, że zainteresowanie jest odczuwalne. Po drugie, nasze projekty, zwłaszcza w Trójmieście i Warszawie, realnie konkurują z europejskimi. Cechuje je bardzo wysoka jakość, a polskie pracownie projektowe są coraz częściej nagradzane na arenie międzynarodowej. Trójmiasto ma też przewagę w postaci unikalnych uwarunkowań środowiskowych, jak dostęp do morza, świeżego powietrza, i wysoki poziom zalesienia, co w dobie zmian klimatycznych jest znaczącym atutem.

**Lokalizacja to jeden magnes, czym deweloperzy mogą dodatkowo przyciągnąć inwestorów? Czego ci szukają w projektach?**

Przede wszystkim jakości budownictwa.

Spotykamy się z opiniami, że w Trójmieście nieruchomości premium są na niespotykane wysokim poziomie. To rynek, który stawia na jakość rozwiązań, technologię i innowacje. Allcon jest w czołówce, jeśli chodzi o ich implementację oraz skupienie na dobrostanie, zdrowiu i ponadczasowości rozwiązań, które nie starzeją się szybko. Istotne staje się też to, czy inwestycja jest certyfikowana i jakie korzyści daje to finalnemu odbiorcy w perspektywie długoterminowej.

**Allcon jest jednym z niewielu deweloperów w Polsce certyfikujących inwestycje mieszkaniowe w systemie BREEAM. Dlaczego to takie ważne?**

To wymagający i drogi proces, wielu inwestorów z niego rezygnuje. Dla nas certyfikacja BREEAM, którą mają projekty Atrium Oliva czy teraz SKYCITY Gdynia, to rzetelny, międzynarodowy dowód jakości. Gwarantuje on klientowi nie tylko spełnienie wymogów środowiskowych, lecz także świadczy o wysokim standardzie i jakości całej inwestycji, choćby przez użycie certyfikowanych, najlepszych materiałów. Filozofia Allconu opiera się na postawieniu człowieka w centrum. Zawsze dokładnie analizujemy to, jak dany projekt wpływa na zdrowie i dobrostan mieszkańca. Nasze filary to jakość, innowacyjność i ludzie.

To podejście zaprowadziło nas do neuroarchitektury. Zaprośmy do współpracy Natalię Olszewską, wybitną specjalistkę w zakresie zastosowania neuronauk w projektowaniu architektonicznym. Ukończyła ona zarówno architekturę, jak i medycynę. Konsultuje z nami projekty pod kątem tego, jak wpływają na funkcjonowanie ludzkiego mózgu, a tym samym samopoczucie i dobrostan mieszkańców.

**Kto jest typowym klientem na rynku premium? Kupuje, by szybko sprzedać z zyskiem, pod wynajem czy dla siebie?**

Ten pierwszy wariant, czyli szybka odsprzedaż, jest obecnie najmniej popularny. Dziś klienci segmentu premium szukają adresu, z którego będą mogli niezależnie korzystać w przyszłości. Często myślą o zabezpieczeniu swojej emerytury lub o formule second home (drugiego domu). To klienci, którzy kupują dla siebie. Inwestując odpowiedni pułap środków, chcą mieć pewność, że inwestycja będzie odpowiadała ich potrzebom również za kilka czy kilkanaście lat.

**Jak zmieniły się oczekiwania tych klientów na przestrzeni ostatnich lat?**

Zmiany widać nawet w horyzoncie krótszym niż 10 lat. Ostatnie lata pokazały nam, jak istotne są zdrowie i komfort codziennego funkcjonowania. Klienci pytają więc o wszystkie udogodnienia w budynku, ale też o bezpośrednie sąsiedztwo, zgodnie z ideą „miasta 15-minutowego”, czyli dostępności usług i dóbr w zasięgu ręki. W naszym wypadku miasto jest wręcz 5-minutowe. Ważne są innowacyjność, to, jakie rozwiązania zastosowano, czy będą mogli zarządzać nieruchomością z każdego miejsca na świecie. I co

bardzo istotne, coraz częściej pytają o koszty eksploatacyjne. Dla wymagających i świadomych klientów segmentu premium ważne jest odpowiedzialne i ekologiczne podejście do miejsca, które ma być ich adresem.

**Ile dziś trzeba mieć pieniędzy, by myśleć o inwestycji w Trójmieście?**

To zależy od tezy, jaką stawiamy sobie jako inwestor. Jeśli patrzymy krótkookresowo i liczymy na jak najwyższą rentowność z najmu, zdecydowanie polecam rynek popularny. Zaangażowanie kapitału jest mniejsze, koszty wykończenia niższe, a stopy zwrotu z najmu w Trójmieście są jednymi z najwyższych w Polsce. Jeśli jednak myślimy długoterminowo i chcemy zaangażować kapitał w rynek premium, to rentowność z najmu będzie niższa, ale wzrost wartości samej nieruchomości w czasie jest nieporównywalnie większy.

**Co w takim razie musi mieć idealny projekt inwestycyjny, by można było mieć pewność, że zyska on na wartości w długim horyzoncie?**

Żadna inwestycja nie daje 100-proc. pewności zysku. Na pewno warto przyrzeć się marce i doświadczeniu dewelopera. To, że w Allcon skupiamy kompetencje dewelopera, generalnego wykonawcy i spółki najmu nieruchomości komercyjnych, daje klientowi gwarancję bezpieczeństwa i holistycznego podejścia. Druga rzecz to certyfikacja, o której mówiliśmy. Po trzecie, ponadczasowa architektura, która nie ulega chwilowym trendom i opiera się upływowi czasu. I wreszcie innowacje, czyli rozwiązania wyprzedzające swoje czasy.

**Czy takim projektem jest SKYCITY w Gdyni?**

To jest projekt, który zdarza się raz na kilkanaście lat. Od czasów Sea Towers to pierwsza taka inwestycja w Gdyni i myślę, że ostatnia w perspektywie najbliższych lat, chociażby ze względu na ograniczoną dostępność unikalnych działek. Mówimy tu o lokalizacji w centrum miasta, z widokiem na morze lub na Trójmiejski Park Krajobrazowy. To spektakularny projekt w skali europejskiej, który z pewnością odmieni oblicze Gdyni.

**Na jakim etapie jest projekt i co oferuje?**

Obecnie jesteśmy na etapie sprzedaży pierwszego, 17-kondygnacyjnego budynku, który jest w trakcie budowy. Będzie on gotowy w II kw. 2028 r. W perspektywie najbliższych dwóch lat planujemy wprowadzić do sprzedaży budynek 35-kondygnacyjny. Oferujemy apartamenty w standardzie deweloperskim. Klienci z segmentu premium zdecydowanie wolą takie rozwiązanie; niemal każdy z nich współpracuje ze swoim architektem i chce indywidualnie decydować o każdym elemencie wykończenia.

**Jaki jest więc przedział cenowy i metrażowy w SKYCITY?**

Ceny w pierwszym budynku zaczynają się od 18 000 zł brutto za mkw., a sięgają ok. 42 000 zł. Średnia cena kształtuje się na poziomie ok. 26 000 zł. Jeśli chodzi o metraż, zaczynamy od 40 mkw. na niższych piętrach, a od połowy budynku w górę dominują metraże od 60 do 150 mkw.

**Jakie jest najbardziej innowacyjne udogodnienie w SKYCITY. Coś, co faktycznie wyprzedza rynek.**

Poza certyfikacją BREEAM i wspomnianą neuroarchitekturą, do SKYCITY Gdynia wprowadziliśmy pakiet wspierający dobrostan i regenerację. To m.in. tężnia solankowa, sauny oraz profesjonalny gabinet fizjoterapii i masażu, który mieszkańcy będą mogli wynająć na wyłączność, zachowując pełną anonimowość i komfort.

PARTNER

To zupełnie inaczej rozumiane kamienie milowe – po prostu każdy etap realizacji kontraktu będzie rozliczany. Tylko tyle i aż tyle. Jeśli ktoś złapie opóźnienia, to wypadnie z listy kontraktów. Nie będziemy ryzykować złego rozliczenia, w razie czego mamy zagwarantowaną możliwość rewizji planu inwestycyjnego, będziemy mieli prawo skorygować to, co nie działa.

Ale co wtedy z takimi programami?

Wtedy wróci pytanie, czy wykorzystujemy wszystko z tych ponad 40 mld euro. Wcale nie musimy tego robić. Każda transza jest jakby osobną pożyczką, w marcu dostaniemy 15 proc. zaliczki, potem dwa razy do roku rozliczamy nasze dokonania, czyli realizację kamieni milowych. I dopiero wtedy startuje zegar spłat. Nie musimy tego wszystkiego wykorzystywać, jeśli na jakimś etapie dojdziemy do wniosku, że dana inwestycja jest nieopłacalna, nierealna albo do zmiany. Mamy też listę rezerwową. Będziemy reagować na bieżąco.

W takiej czy innej formie pieniędzy nie będziemy mogli wydać w USA czy Korei Południowej, co niepokoi szefa BBN w kontekście strategii obronnej USA.

Myślę, że minister Cenckiewicz wie, że SAFE nie jest jedynym źródłem, z którego skorzystamy. Nikt nie mówi, nie myśli o zakończeniu zakupów z USA i nikt nie odcina Waszyngtonu od zamówień dla Wojska Polskiego. Wystarczy spojrzeć na kontrakty zawierane przez wicepremiera Władysława Kosiniaka-Kamysza. Dalej mamy budżet państwa z zagwarantowanym poziomem wydatków i Fundusz Wsparcia Sił Zbrojnych. To się nie zmienia. SAFE jest tylko kolejnym źródłem finansowania. Cieszę się, że będziemy mieli okazję to wszystko sobie wyjaśnić podczas Rady Bezpieczeństwa Narodowego.

Gdzie spodziewa się pani potencjalnych min czy pułapek?

Terminowość. Czyli właśnie to, żebyśmy już do maja mieli podpisane niemal wszystkie kontrakty, które chcemy zawrzeć solo. To wielkie zadanie dla Agencji Uzbrojenia – zdążyć do końca maja, bo później to okienko się zamyka i zostają nam wspólne zamówienia. Ale znam gen. Artura Kuptela, który stoi na czele Agencji Uzbrojenia, i wiem, że jak mówi, że będzie, to będzie. Kiedy przeskoczmy ten wiosenny kamień, wrócą pytania o tempo realizacji tych umów. I nie lukrujemy rzeczywistości: trudne momenty mogą przyjść, na pewno przyjdą. Mamy je namierzone i będziemy na nie gotowi. ©



Magdalena

**Sobkowiak-Czarnecka**

pełnomocnik rządu ds. Instrumentu na rzecz Zwiększenia Bezpieczeństwa Europy

FOT. MAT. PRASOWE

# Idee



FOT. WOJTEK GORSKI

## Nie mylmy Trumpa z Ameryką

Piotr **Wójcik**

„Good job ICE” – napisał z entuzjazmem europoseł PiS Dominik Tarczyński, który coraz częściej jest określany jako europoseł MAGA (Make America Great Again), tyle że wybrany z list PiS. W ten sposób polityk podsumował zabójstwo popełnione przez funkcjonariuszy służby granicznej na amerykańskim obywatelu, który co prawda miał broń, ale w momencie oddawania strzałów był już rozbrojony i unieszkodliwiony. Wcześniej funkcjonariusze ICE zabili nieuzbrojoną Amerykankę za kółkiem samochodu. Oba wydarzenia nie wzbudziły oburzenia w szeregach ugrupowania Jarosława Kaczyńskiego, a jeśli już wywołały jakieś emocje, to właśnie takie.

Ekscytacja ruchem MAGA i Donaldem Trumpem w środowisku okołopolisowskim jest wyrażana na wiele sposobów – jak organizacja republikańskiej konferencji CPAC w Rzeszowie. Przede wszystkim jednak znamienne jest brak wyraźnego stanowiska wobec coraz bardziej agresywnych działań administracji w Waszyngtonie w kolejnych rejonach świata. W sprawie Wenezueli widać było wręcz entuzjazm. Nawet zmiana podejścia PiS do wojny w Ukrainie była idealnie zgrana z nową polityką amerykańskiej administracji. Oczywiście już w końcówce rządu Morawieckiego korekta stosunku do Kijowa, szczególnie w kwestii dostępu do unijnego rynku, była wyraźna, jednak była

ona ograniczona do poszczególnych obszarów i podyktowana zmianą nastrojów społecznych. W czasach Trumpa nawet najostrzejsze określenia ze strony administracji USA, chociażby to o „reżimie w Kijowie” czy podważające legalność prezydentury Zeleńskiego, nie spotykały się z oporem ze strony środowisk związanych z PiS. Tak jakby wszyscy w tym ugrupowaniu zapomnieli, co mówili i robili na początku tej wojny. Wygląda na to, że jego politycy broniliby nawet najbardziej kuriozalnych pomysłów ekipy Trumpa.

To serwilistyczne podejście jest przedstawiane jako obrona żywotnych interesów Polski, która musi postawić wszystko na jedną – amerykańską – kartę. W gruncie rzeczy jest jednak nakierowane na użytek krajowy. Bliska współpraca PiS z ruchem MAGA, czego Tarczyński jest tylko najbardziej jaskrawym – i absurdalnym – przykładem, ma pomóc w zwycięstwie w kolejnych wyborach.

Niewątpliwie ze wszystkich opcji politycznych w Polsce to PiS ma najlepsze relacje z obecną administracją nad Potomakiem. Ostentacyjne pomijanie Donalda Tuska w spotkaniach ze stroną amerykańską nie jest tylko efektem jego lekkomyślnych wypowiedzi o Trumpie. Wspominanie o tym przez polityków PiS przypomina donosy na swój rząd za granicą, za co wcześniej PiS oskarżał opozycję w czasach rządów Morawieckiego. Z tą różnicą, że KO informowała organy UE, której jesteśmy częścią, o możliwych przypadkach łamania prawa, a partia Kaczyńskiego składa donosy do obcego – chociaż zaprzyjaźnionego – państwa.

Takie wiernopoddane podejście może być skuteczne w polityce krajowej, ale dla długoterminowego statusu Polski będzie destrukcyjne. Brak jednoznacznego wsparcia Danii w sporze o Grenlandię może podważyć zaufanie wszystkich państw nordyckich do Warszawy. Tymczasem w obecnej sytuacji geopolitycznej kraje regionu Morza Bałtyckiego są jednymi z kluczowych elementów naszej struktury bezpieczeństwa. Polska powinna się stać fundamentem bezpieczeństwa północno-wschodniej flanki NATO, tymczasem polityka PiS i Pałacu Prezydenckiego sprawia, że jest traktowana jak państwo lojalne wyłącznie wobec Waszyngtonu. Gdyby Trump uznał, że np. Narwa jest rosyjska, a nie estońska, postawa Warszawy nie będzie już tak pewna jak kiedyś. Nie wiadomo już, czy hasło „bronić każdego kawałka ziemi NATO” jest dla Polski niepodważalnym dogmatem. A to osłabia pozycję Warszawy w regionie.

Także sceptycyzm wobec unijnego programu SAFE, który zapewnia tanie pożyczki na zbrojenia, jest sprzeczny z polską racją stanu. SAFE ma być proble-



FOT. WOJTEK GORSKI

## Ta straszna Unia

Marcin **Kędzierski**

Trzy historie z niedalekiej przeszłości. Listopad 2025 r. Do mediów wycieka 28-punktowy plan pokojowy przygotowany przez Rosjan i Amerykanów. Europa nie kryje zdumienia, a wręcz oburzenia. W Londynie z prezydentem Ukrainy spotykają się liderzy grupy E3: Niemiec, Francji i Wielkiej Brytanii. Prezydent USA Donald Trump publicznie dezawuuje europejskich partnerów. Podkreśla, że nie mają nic do zaoferowania i nie warto z nimi rozmawiać. Mimo agresywnego tonu Trumpa na początku grudnia dochodzi do rozmowy telefonicznej, w której strony postanawiają kontynuować negocjacje. Kilka dni później specjaliści wysłannicy prezydenta USA, Steve Witkoff i Jared Kushner, przylatują do Berlina, by wspólnie z Europejczykami uzgodnić nowy, 20-punktowy plan pokojowy.

W tym samym czasie na platformie X trwa ofensywa komunikacyjna Elona Muska przeciwko Brukseli. Musk porównuje Unię Europejską do „IV Rzeszy”, nawołuje do jej likwidacji, a wreszcie blokuje konto reklamowe Komisji Europejskiej. Działania te są reakcją na karę w wysokości 140 mln dol., którą Bruksela nałożyła na X za naruszenia unijnego rozporządzenia DSA (aktu o usługach cyfrowych). Musk wciąż nie

zapłacił grzywny, a Komisja grozi kolejnymi sankcjami w wysokości do 6 proc. obrotów (czyli ok. 200 mln dol.). W styczniu unijni urzędnicy wszczynają postępowanie w sprawie Groka, narzędzia sztucznej inteligencji działającego na X. Główny zarzut dotyczy braku należytego nadzoru, co pozwala użytkownikom generować seksualne obrazy, w tym „rozbierane” zdjęcia kobiet i dzieci. Choć utrata unijnego rynku nie zabije X, to trudno zignorować fakt, że przynosi on platformie ok. 25 proc. przychodów.

Trzeci obrazek. Styczeń 2026 r. Trump rozkręca awanturę wokół Grenlandii. W swoim wystąpieniu na szczycie w Davos w ostrych słowach atakuje Unię, ale już dzień później wycofuje się z groźby zbrojnego przejęcia kontroli nad wyspą. Według analityków wpływ miały na to duże spadki na amerykańskiej giełdzie, związane m.in. z sygnałami wysłanymi przez polityków i przedstawicieli dużego biznesu ze Starego Kontynentu w kularach Davos. Dali oni do zrozumienia swoim partnerom zza oceanu, że Unia nie będzie się już ociągać z wprowadzeniem pozataryfowych barier dla amerykańskich koncernów technologicznych. Z kolei Parla-

matyczny, gdyż zakłada zakupy w krajach unijnych, gdy PiS postuluje kontynuację polityki rządu Morawieckiego, która opierała się na masowych zakupach za oceanem, uzupełnianych dostawami z Korei Południowej. Trzon sił zbrojnych niewątpliwie powinien stanowić sprzęt z USA, chociażby dlatego, że jest wciąż najnowocześniejszy na świecie. Jednak sam Waszyngton wskazuje, że Unia Europejska musi wziąć na siebie zdecydowanie większą odpowiedzialność za swoje bezpieczeństwo. Nie da się tego zrobić bez rozwoju własnego przemysłu zbrojeniowego. I o to chodzi w programie SAFE. Zakupy myśliwców, ochrony przeciwrakietowej, artylerii czy czołgów w UE to także impuls dla rozwoju przemysłu zbrojeniowego.

Poza tym uzależnianie się od sprzętu zza oceanu wystawia nas na ryzyko, że jego użycie będzie ściśle związane z interesem USA. Tak naprawdę wciąż nie jest jasne, czy Amerykanie byliby w stanie wyłączyć systemy elektroniczne w sprzedawanej innym krajom broni, ale jest to prawdopodobne. Oczywiście jest to ryzyko również dla samych Stanów Zjednoczonych, dla których przemysł zbrojeniowy jest jednym z motorów gospodarki. Nawet jeden ewidentny przypadek unieruchomienia broni made in USA drastycznie ograniczyłby jej popyt. Tyle że interesy geopolityczne mogą się w pewnym momencie stać ważniejsze od ekonomicznych – np. jeśli będzie od tego zależeć powodzenie „odwróconego Kissingera” (przecignięcie na swoją stronę Rosji w rywalizacji z Chinami). Nasze interesy geopolityczne są o wiele bliższe tym państw UE niż USA.

Bezrefleksyjne oparcie bezpieczeństwa na Stanach Zjednoczonych hamuje również rozwój polskiego potencjału zbrojeniowego i przemysłowego. Ukraińcy pokazali, że nawet w warunkach wojennych potrafią wytwarzać własne rozwiązania obronne, np. w obszarze dronów. Rosyjska napaść udowodniła natomiast, że własne zdolności produkcji broni są jednym z kluczy do sukcesu. USA potrafią być chimeryczne – w czasach Bidena stały jednoznacznie po stronie Kijowa, w epoce MAGA potrafią zmieniać zdanie co kilka dni, ograniczać dostawy sprzętu czy straszyć odcięciem od amerykańskiego rozpoznania. Produkcja rodzimych rozwiązań, nawet jeśli początkowo gorszej jakości, przekłada się na rozwój możliwości technologicznych w przyszłości. Warto wydawać pieniądze w kraju i inwestować w rozwój własnych możliwości

produkcyjnych. Tym bardziej że przykłady Izraela i USA po 1945 r. pokazują, że innowacje w zbrojeniach przepływają do gospodarki cywilnej i potrafią stać się motorem rozwoju technologicznego całego kraju.

**B**ezkrytyczne podejście do polityki USA – takie, jakie w najbardziej ekstremalnej wersji pokazuje Dominik Tarczyński – może też zepsuć przyszłe stosunki Warszawy z Waszyngtonem. Już widać zmianę podejścia Amerykanów do poczynań administracji Trumpa w polityce handlowej czy imigracyjnej. Bezpardonowe działania ICE wzbudzają coraz większy opór także wśród republikanów. Złagodzenie podejścia do Grenlandii było przynajmniej częściowo efektem oporu generałów US Army. Nastroje społeczne wpływają na zmianę polityki ekipy MAGA. Przecież nawet administracja Trumpa złagodziła ton w sprawie zabójstwa 37-letniej Amerykanki, przechodząc od skandalicznych wypowiedzi J.D. Vance’a do bardziej stonowanej retoryki.

Spółeczeństwo w USA jest spolaryzowane, demokraci nie zniknęli, a nadchodzą wybory śródomiesięczne (mid-term). Oczywiście Trump obecnie rządzi z pominięciem Kongresu, korzystając z uprawnień w związku ze stanem wyjątkowym na granicy z Meksykiem, które sam sobie nadał, ale może to zostać niedługo skutecznie podważone przez sądy. Jeśli opór wobec polityki prezydenta będzie rosł, to jest całkiem prawdopodobne, że jego następcą w Białym Domu zostanie demokrat. Wtedy serwilistyczne podejście największej polskiej partii opozycyjnej – a może niedługo rządzącej – stanie się obciążeniem. Szczególnie w warunkach polaryzacji, która sprawia, że przeciwnicy Trumpa w kraju stają się wrogo nastawieni do jego zwolenników także poza USA – tak jak trumpiści do liberałów poza własnym krajem.

Stany Zjednoczone są coraz bardziej chwiejnym sojusznikiem. W takiej sytuacji znacznie bardziej odpowiedzialna jest polityka rządu, który stara się nie wikłać w wewnętrzne spory w USA i szukać konsensusu także w teoretycznie wrogiej opcji rządzącej obecnie Ameryką. Nielubiany przez Trumpa premier Tusk się schował, ewentualnie pokazuje się z przedstawicielami amerykańskiego biznesu. Oddelegowany do kontaktów z Amerykanami został Władysław Kosiniak-Kamysz,

który pasuje do tej roli również z racji stanowiska szefa MON – a obecnie to kwestie bezpieczeństwa są najważniejsze w relacjach Polski z USA. Mniej gryzie się w język Radosław Sikorski, lecz także on powściągnął swoje zapędy publicystyczne. Tymczasem środowisko PiS jest tak zaangażowane w popieranie ruchu MAGA, że politycy tej partii nawet paradują po Sejmie w czerwonych czapczkach, a w mediach bliskich PiS każde działania Trumpa są wychwalane pod niebiosa. Nawet jeśli dotyczą kolejnej próby resetu relacji z Rosją.

**P**olska ma do odegrania ważną rolę w Europie Środkowej, więc powinna zachować maksymalną swobodę w podejmowanych decyzjach. Warszawa nie może się uwiązać u szyi zagranicznych polityków, i to jeszcze tak chwiejnych i nieprzewidywalnych jak Trump, który w każdej chwili może sprzedać Ukrainę lub zacząć wspierać niezwykle groźną Alternatywę dla Niemiec. Żeby móc prowadzić taką autonomiczną i skuteczną politykę, RP powinna wspierać własne zdolności oraz budować własny soft power. Kraj uważany za lokalnego wasala USA traci prestiż i może zapomnieć o odgrywaniu wiodącej roli w regionie.

Dotyczy to zresztą także aktualnego rządu, który nie potrafi zająć jednoznacznego stanowiska wobec coraz bardziej kuriozalnych pomysłów USA, takich jak zajęcie Grenlandii czy stworzenie absurdałnej Rady Pokoju. W ten sposób nie tylko oddala się od UE, której wielu członków potrafi jednoznacznie odcinać się od nich i krytykować politykę Trumpa, ale sama staje się lokalną niemową. Teorie upowszechniane w rosyjskiej propagandzie, że Warszawa to tak naprawdę wykonawca polityki USA w Europie Środkowo-Wschodniej, nagle stają się całkiem realne.

Oczywiście, że USA to kluczowy sojusznik Polski, jednak według polityków PiS tym sojusznikiem jest ruch MAGA i ekipa Donalda Trumpa. Tymczasem USA nie składają się wyłącznie z nich. Poza tym bycie sojusznikiem nie oznacza bycia wasalem. PiS swoim serwilizmem wobec aktualnej władzy w Waszyngtonie zbliża nas bardziej do Portoryko, który jest terytorium zależnym, pozbawionym nawet praw wyborczych. Jeśli Kaczyński et consortes sądzą, że ktoś będzie poważnie traktował środkowoeuropejskie Portoryko, to jest w wielkim błędzie. ©©

ment Europejski wstrzymuje ratyfikację umowy handlowej USA-UE z sierpnia 2025 r., którą Trump uważał za swój osobisty sukces. Dalsze rozmowy na temat statusu Grenlandii zostają przeniesione ze szczybla politycznego na szczebel urzędniczy, na którym Europejczycy czują się jak ryby w wodzie.

## Memiczna Unia

Choć relacja między Wspólnotą a Stanami Zjednoczonymi nie jest w pełni symetryczna, to trudno mówić o jednostronnej zależności. A jednak śledząc narracje dominujące w mediach społecznościowych, można odnieść wrażenie, że Unia jest skazana na marginalizację – że w globalnej rozgrywce między potęgami nie ma żadnych kart. W gruncie rzeczy podobne opinie można usłyszeć w kontekście relacji UE z Chinami, a nawet z Rosją. Jesteśmy słabi, ulegamy szantażowi, łatwo nas sobie podporządkować. Ale co najgorsze, Unia ze swoim nadmiarem regulacji jest swoim głównym wrogiem. Gdy Amerykanie i Chińczycy rywalizują w przestrzeni kosmicznej, Europejczycy bohaterowo walczą z nakrętkami do butelek. Wiele działań Brukseli staje się przedmiotem memów. Zresztą nie od dziś – anegdoty o regulowaniu krzywizny banana weszły już do internetowego folkloru (choć to świetny przykład sytuacji, w której z pozoru idiotyczne przepisy skrywały określony cel polityki handlowej).

W tej antyunijnej opowieści za szczyt absurdu uchodzi polityka klimatyczna. Przekonanie, że Zielony Ład zabija nasz przemysł, tak bardzo się upowszechni-

niło, że nawet zwolennicy transformacji energetycznej nie są już w stanie jej bronić.

Polityka klimatyczna to doskonały przykład, który pozwala zmierzyć się z różnymi mitami na temat Unii. Dlaczego rozpoczęliśmy transformację energetyczną? Byliśmy niepoprawnymi optymistami? Daliśmy się uwieść propagandzie „klimatystów”? Chcieliśmy zniszczyć rodzimy przemysł? Wbrew pozorom nie chodziło o miłość do środowiska naturalnego, lecz o to, że państwa członkowskie nie dysponują ogromnymi zasobami węgłowodórów, które można pozyskiwać w łatwy i ekonomicznie efektywny sposób. Wydobycie węgla jest nieoptymalne i raczej się to nie zmieni. To dlatego kolejne kraje zamykały kopalnie, nawet jeśli były jeszcze rentowne. Niedawno swoją ostatnią kopalnię węgla kamiennego wygasili Czesi, co oznacza, że Polska pozostała jedynym krajem członkowskim, w którym nadal fedruje się „czarne złoto”. Podobnie wygląda sytuacja w przypadku ropy naftowej i gazu ziemnego – nasze zasoby są niewystarczające albo ich wydobycie jest nieoptymalne.

Oczywiście surowce można importować – taka była strategia Niemiec w kontekście współpracy z Rosją i budowy Nord Stream. Jednak Unia postawiła na odnawialne źródła energii. Przyczyna jest prosta – energia z OZE jest tańsza, a przede wszystkim uniezależnia nas od zewnętrznych dostawców surowców. Na początku XXI w. OZE odpowiadały za produkcję niespełna 15 proc. energii elektrycznej we Wspólnocie. W 2025 r. zbliżyliśmy się do 50 proc. W dłuższej perspektywie trudno byłoby utrzymać konkurencyjność unijnej gospodarki, gdybyśmy bazowali na spalaniu wę-

głowodorów z Rosji, USA czy państw Zatoki Perskiej. Odsądzeni od czci i wiary system handlu emisjami ETS w zamiśle miał zapewnić państwom czas i środki do przeprowadzenia transformacji energetycznej. Dalszy import węgla, ropy i gazu byłby prostą drogą do bezpowrotnej utraty globalnej konkurencyjności.

Drugim powodem, który stał za postawieniem na transformację energetyczną, była chęć znalezienia nowej opowieści nadającej sens integracji europejskiej i budującej globalną pozycję Wspólnoty. Oto UE staje się „rulemakerem”, twórcą reguł, które muszą zaakceptować inni gracze. Podobna próba stworzenia unijnej opowieści towarzyszyła kwestii ochrony danych osobowych: „Droży Amerykanie, Chińczycy, Indusi, etc., jeśli chcecie mieć dostęp do naszego ogromnego rynku, musicie się dostosować do naszych zasad”. Patrząc na zmiany, które zaszły w ostatnich latach, częściowo tak się stało. Jeśli Elon Musk chce mieć dostęp do europejskich konsumentów, to musi się dostosować do przepisów aktu o usługach cyfrowych.

## Rozsadzić od środka

Głównym motywem stojącym za unijną polityką klimatyczną nie była więc ideologia, lecz strategia budowy konkurencyjności i globalnej pozycji. Greenwashing miał jedynie stanowić swoistą zasłonę dymną dla rzeczywistych zamiarów. Tym bardziej że 20 lat temu żyliśmy w liberalnym świecie, w którym nie mówiło się wiele o geopolitycznej rywalizacji. Łatwiej było sprzedać ekologiczną narrację. ➤

Dzisiaj jest odwrotnie – Unia stała się zakładnikiem „zielonej” interpretacji. Przez wiele lat konkurenci UE sęcili nam komunikaty podkopujące zasadność polityki klimatycznej, a nawet sens samej integracji europejskiej. Mamy twarde dowody na to, jak obce służby próbowały wpływać na sytuację polityczną w państwach członkowskich – zaczynając od brexitu, przez Katalonię, po ingerencję w kampanie do Parlamentu Europejskiego. Unia jest nie tylko ośmieszana i dyskredytowana, lecz także prezentowana jako główne źródło naszych problemów.

Opowieść o bezradnej, a jednocześnie wszechmogącej Brukseli powinna zapalić nam w głowach lampkę alarmową. Nie twierdzę, że UE nie mierzy się z ogromnym wyzwaniem. Warto jednak zachować odpowiednią proporcję. Tym bardziej, że znaleźliśmy się w sytuacji, w której opowiedzenie się w jakimkolwiek sporze po stronie UE jest dla krytyków nawet nie tyle przejawem zdrady narodowej, ile przykładem frajerstwa i głupoty. Unia nie może mieć racji, bo to lewacka organizacja promująca szkodliwe ideologie – przekonują sceptycy. Dawniej z taką narracją można było się zetknąć co najwyżej w Radiu Maryja lub „Najwyższym Czasie”. Teraz staje się ona elementem głównego nurtu.

Dlatego warto przypomnieć, że UE to wciąż największy rynek wewnętrzny na świecie. I raczej się to szybko nie zmieni. Zawdzięczamy to m.in. powszechnie krytykowanemu (także w samej Brukseli) europejskiemu modelowi gospodarczemu, który – lepiej lub gorzej – dba o niwelowanie nierówności dochodowych i stymulowanie konsumpcji. Dla porównania: w USA obserwujemy coraz większą koncentrację bogactwa, zaś Chiny świadomie ograniczają popyt wewnętrzny, obawiając się ekonomicznego, a co za tym idzie – politycznego – upodmiotowienia swoich obywateli.

Dla obu globalnych graczy i ich firm Unia pozostaje nieodzownym partnerem. W obliczu rosnących barier na amerykańskim rynku Państwo Środka musi sprzedać swoje towary w Europie, aby uniknąć poważnego kryzysu gospodarczego. Z pewną przesadą można stwierdzić, że to w rękach Komisji Europejskiej spoczywa los wielu amerykańskich i chińskich firm. Trudno się więc dziwić, że zagraniczni gracze robią wiele, aby z pomocą pompowanych przez algorytmy sił politycznych rozsadzać Unię od środka.

## Integracja albo peryferie

Należy mieć to na uwadze, obserwując trendy na polskiej scenie politycznej. Nie jest przypadkiem, że unijni sceptycy rosną w sondażach. Jest to niepokojące nie tylko ze względu na rosyjskie zagrożenie. Nie możemy zapominać, że ponad 80 proc. naszego eksportu trafia na rynek wewnętrzny, a nasze firmy awansują w globalnych łańcuchach wartości głównie dzięki współpracy z europejskimi potentatami. Polexit lub dezintegracja oznaczałyby zepchnięcie nas na peryferie. W obliczu zmieniającego się ładu międzynarodowego mocne zakorzenienie w politycznie sprawnej Unii powinno więc być naszym priorytetem.

Najważniejszym wyzwaniem stojącym przed przywódcami UE jest nie tyle walka z zagranicznymi platformami (choć kolejne regulacje wydają się niezbędne), ile stworzenie przestrzeni dla europejskich platform, w której będziemy mieć wpływ na algorytmy. Unia musi w końcu zadbać o przestrzeń komunikacyjną, którą w ostatnich latach niemal całkowicie sobie odpuściła. Jeśli tego nie zrobi, większość Europejczyków uwierzy w końcu w antyunijną propagandę sączoną przez naszych geopolitycznych rywali, a skrajnie prawicowe ugrupowania sięgną w końcu po władzę.

Ktoś może mi zarzucić, że wzywam do wprowadzenia cenzury i unijnego urzędu ds. propagandy. Choć ryzyko naruszenia naszych praw podstawowych istnieje, to czy istnieje inny sposób, by obronić nasz dobrobyt, polityczną podmiotowość i demokratyczne wartości? Jedno jest dla mnie oczywiste – w naszym interesie leży gra po stronie Brukseli. Ze wszystkimi tego konsekwencjami. ©P

Autor jest publicystą, doktorem nauk ekonomicznych, adiunktem w Katedrze Stosunków Międzynarodowych UEK i członkiem Polskiej Sieci Ekonomii



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

# Czy USA potrzebują europejskich pieniędzy?

Artur Klimek

Sekretarz skarbu USA Scott Bessent stwierdził w Davos, że duńskie inwestycje w amerykański dług są nieznaczające. I nie zatrzymał się na tym. Dodał, że Dania jako państwo też jest nieznaczająca. Wpisuje się to w szersze plany uzyskania kontroli nad Grenlandią przez Amerykanów. Jak donosi Reuters, krytyka działań rządów Starego Kontynentu odbywała się również na zamkniętych spotkaniach.

Sprawa Grenlandii zbiegła się w czasie z decyzją jednego z duńskich funduszy emerytalnych (AkademikerPension), który zdecydował o sprzedaży wszystkich posiadanych obligacji amerykańskiego rządu. W oficjalnym uzasadnieniu wskazano, że za tą decyzją stoją obawy o sytuację amerykańskich finansów publicznych, a nie kwestie polityczne. Podobną decyzję o zmniejszeniu zaangażowania ogłosił jeden ze szwedzkich funduszy emerytalnych. Dyskusje o zaangażowaniu w amerykański dług toczą się głównie w krajach skandynawskich oraz w Holandii. Największy europejski fundusz emerytalny – holenderski ABP – już w 2025 r. zmniejszył zaangażowanie w amerykańskie obligacje.

Tak się złożyło, że państwa Europy Północnej są tymi, z których pochodzą inwestorzy posiadający duże środki emerytalne ulokowane w USA, a z drugiej strony są to państwa potencjalnie dotknięte zwiększeniem amerykańskiego zainteresowania Arktyką.

Fundusze emerytalne to ważne instytucje o stabilnych strategiach inwestycyjnych, które stawiają barierę na bezpieczeństwo inwestycji niż na wysoką stopę zwrotu. Dotychczas dług amerykański był dla nich złotym standardem aktywów ze względu na wysoką płynność i niskie ryzyko.

Decyzje wybranych funduszy nie wpłyną bezpośrednio na możliwości finansowania długu przez amerykańskie władze, jednak stanowią widoczny sygnał zmniejszenia zaufania do tamtejszego długu. Przekłada się to na zwiększenie inwestycji banków centralnych i inwestorów prywatnych w złoto, które notuje kolejne rekordowe ceny.

Inwestycje w USA to nie tylko zakupy tamtejszych obligacji skarbowych, lecz także bezpośrednie inwestycje zagraniczne (w formie budowy i przejmowania amerykańskich przedsiębiorstw) oraz inwestycje w aktywa finansowe podmiotów prywatnych (akcje i obligacje). Kilka tygodni temu ukazała się kwartalna informacja o międzynarodowej pozycji inwestycyjnej netto USA, czyli zestawienie należności i zobowiązań zagranicznych. Dostarcza ono informacji, czy dane państwo jest dłużnikiem wobec zagranicy, czy też wierzycielem innych państw. Amerykańskie dane za trzy kwartały 2025 r. potwierdzają utrzymanie rosnącego deficytu, co oznacza szybsze zwiększanie zobowiązań wobec inwestorów zagranicznych w stosunku do amerykańskich należności z zagranicy. Różnica ta wyniosła ponad 27 bln dol. i była najwyższa w historii. Wynika ona ze zwiększonych inwestycji płynących ze świata. Stoi to w sprzeczności z tezą o walnym wycofywaniu się inwestorów zagranicznych z amerykańskiego rynku finansowego („sell America”). Wręcz przeciwnie – amerykański rynek finansowy pozostaje silnym magnesem dla kapitału, nawet jeśli jednocześnie zwiększane są zabezpieczenia przed spadkami wartości papierów wartościowych wycenianych w dolarach.

Atrakcyjność inwestycji w USA wynika zarówno z chęci zysku, jak i poszukiwania bezpieczeństwa. Tamtejsze aktywa są podstawą wielu strategii inwestycyjnych. Liczy się łatwość obrotu wynikająca z głębokości i liczby uczestników tego rynku.

Unikanie inwestycji w USA oznaczałoby utratę potencjalnych zysków z inwestycji w takie spółki jak Nvidia, Microsoft czy Alphabet, które stoją za kluczowymi technologiami informacyjnymi, w tym za sztuczną inteligencją. W Europie dominują przedsiębiorstwa z tradycyjnych obszarów działalności, podczas gdy w USA przeważa branża technologiczna. Właśnie dysproporcje w strukturze branżowej doprowadziły do relatywnego spadku wartości europejskich giełd wobec amerykańskiego rynku. Sytuacja ta zmieniła się w 2025 r., gdy amerykańskie giełdy pozostały daleko w tyle za Europą i Azją pod względem stóp zwrotu. Rynek amerykański wzrósł w tym czasie o ok. 16 proc., a azjatycki i europejski prawie dwukrotnie więcej (za LSEG). Jeśli zostanie uwzględniona utrata wartości dolara wobec euro, wówczas różnica jeszcze bardziej się powiększa na korzyść Europy.

Wartość amerykańskich akcji i obligacji posiadanych przez Europejczyków jest szacowana przez George’a Saravelosa, analityka Deutsche Banku, na 8 bln dol. Pojawiły się głosy, że groźba wycofania tego kapitału może być silną kartą w negocjacjach z USA. Nagła sprzedaż amerykańskich aktywów oznaczałaby nie tylko problemy dla USA, lecz także – jeszcze większe – dla posiadaczy aktywów. Wyprzedaż mogłaby zaburzyć światowe finanse. Najmniej straciłby ten, kto sprzedałby jako pierwszy. To byłaby już opcja atomowa.

Możliwość skoordynowanej sprzedaży wydaje się wręcz niemożliwa. Łączny poziom europejskich inwestycji w USA jest wysoki. Odpowiada jednak za niego bardzo zróżnicowana grupa inwestorów: od banków centralnych i banków komercyjnych przez państwowe fundusze majątkowe, firmy ubezpieczeniowe, fundusze emerytalne, fundusze inwestycyjne, po inwestorów indywidualnych. Oprócz podmiotów z Unii Europejskiej, także Zjednoczone Królestwo, Norwegia i Szwajcaria mają duże amerykańskie aktywa. Trudno sobie wyobrazić, że wszyscy postąpią w ten sam sposób i na apel któregoś z polityków dokonają jednoczesnej sprzedaży.

Również motywy inwestycyjne są różne. Dla przykładu, amerykański dług rządowy nie jest kupowany przez inwestorów, aby na nim spekulować, lecz aby minimalizować ryzyko i zapewnić odpowiednią płynność. Duże straty i trudności w jego sprzedaży zaburzyłyby modelami finansowania wielu ważnych instytucji finansowych, takich jak fundusze emerytalne.

U waga skupia się na uzależnieniu USA od inwestorów zagranicznych, jednak także europejski system finansowy jest zależny od swobodnego dostępu do dolara. Kiedy pojawiały się kryzysy i mechanizmy rynkowe nie funkcjonowały poprawnie, zawierane były między bankami centralnymi porozumienia pozwalające na uzyskanie nieograniczonego dostępu do amerykańskiej waluty. Europejska Rada ds. Ryzyka Systemowego we wspólnym raporcie z Europejskim Bankiem Centralnym ostrzegła przed potencjalnym ograniczeniem płynności w dolarach i innych walutach obcych w przypadku nasilenia zagrożeń geopolitycznych. Przełożyło się to już na ograniczenie o kilka procent finansowania w obcych walutach przez banki z Eurolandu.

Mały dług jest problemem dłużnika. Duży dług to problem wierzyciela. Zawłość powiązań finansowych jest tak wysoka, że nikomu nie opłaca się wywracać stolika. Jednak założenie o racjonalności poszczególnych uczestników rynku może się okazać na wyrost. ©P

Autor jest profesorem Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu

# Jak wraca ancien régime

Niektórzy się cieszą, bo oto umiera neoliberalizm i zwija się globalizacja. Tylko czy naprawdę wizja powrotu do gospodarczego ancien régime'u jest tak kusząca?

FOT. ERHUI1979/GETTY IMAGES



Sebastian

## Stodolak

Prawo gospodarcze Europy z XVII–XIX w. pełne jest zabawnych – przynajmniej dla mnie – elementów. Weźmy np. wypiarską ustawę o pochówku w wełnianych tkaninach. O ile nie zmarłeś w wyniku zarazy, rodzina musiała pochować cię w czystym całunnie wyprodukowanym w Anglii. Importowane nie wchodziły w grę. Albo dekret Fryderyka Wielkiego, który nałożył wysoki podatek od kawy. Celem były zatrzymanie importu i promocja rodzimych alternatyw, czyli głównie... piwa. To sprawiło jednak, że przemysł kawy stał się wyjątkowo opłacalny i by go zwalczać, zatrudniono 400 inwalidów wojennych, by wywącichiwali dom po domu, czy ktoś aby nie parzy tego napoju.

Te prawa były ekspresją protekcjonizmu. To, co nasze i wyprodukowane na miejscu, jest dobre i nam służy. To, co obce, drenuje nas z bogactwa. Ta filozofia przez stulecia krępowała rozwój tego, co potem doprowadziło nas do bezprecedensowego dobrobytu. Handlu międzynarodowego.

Niestety, protekcjonizm i stojący za nim sposób myślenia wracają w nowych odmianach. Spróbujmy więc sobie wyobrazić, jak wyglądałby świat, gdybyśmy doświadczyli tego comebacku w pełnej krasie.

## Stany awangardą regresu

Tegoroczny szczyt ekonomiczny w Davos ujawnił głębokie załamanie porządku opartego na wzajemnych, spon-tanicznych i pokojowych relacjach gospodarczych. Jasno wyartykułował to w swoim przemówieniu premier Kanady Mark Carney, gdy – nawiązując do Tukidydesa – zauważył: „Wydaje się, że każdy dzień przypomina nam, że żyjemy w epoce wielkiej rywalizacji mocarstw, że porządek oparty na zasadach zanika, że silni mogą robić to, co chcą, a słabi muszą znosić to, co muszą”.

To, co smuci Carneya, raduje sekretarza USA ds. handlu Howarda Lutnicka. Skonstatował on w Davos, że globalizacja zawiodła, bo uzależniła Zachód od Chin.

„To polityka, która się nie sprawdziła: eksport, offshore, far-shore, poszukiwanie najtańszej siły roboczej na świecie... Chcemy powiedzieć, że America First to inny model, i zachęcamy inne kraje do rozważenia przyjęcia podobnego. Zakłada on, że nasi pracownicy są najważniejsi” – perorował polityk.

Realizacją tej doktryny stało się w 2017 r. wycofanie kraju z Partnerstwa Transpacyficznego (TPP) w celu zatrzymania offshoringu miejsc pracy, w 2018 r. zastąpienie układu NAFTA nową umową USMCA wprowadzającą wymóg, aby

40–45 proc. części samochodowych było produkowanych przez pracowników zarabiających co najmniej 16 dol. na godzinę, a w 2021 r. podpisanie rozporządzenia Buy American and Hire American, które zaostrzyło zasady przyznawania wiz pracowniczych i nakazało agencjom dawanie priorytetu w zamówieniach amerykańskim produktom.

Jako rzekomego beneficjenta protekcjonizmu politycy ustawiają robotnika. W pierwotnej odsłonie protekcjonizmu to nie on był punktem odniesienia. Byli nim rzemieślnik lub przemysłowiec. To ich państwo chciało bronić przed załamaniem tanich towarów z zagranicy i uzależnieniem się od nich. To dla nich – często zbrojnie – chciało otwierać kolejne rynki zbytu. Robotnik stanął w centrum uwagi dopiero wraz z nastaniem demokracji w jej sondażowo-populistycznej odmianie.

Prorobotnicza retoryka współczesnego protekcjonizmu jest tylko ornamentem ukrywającym powrót do systemu, który utrzymywał ludzkość w opłakanym stanie, gdy średnio żyło się 35 lat, samo życie pełne było uporczywych chorób, dieta była uboga, praca fizyczna wyniszczająca, a czasu na rozrywki – poza pijaństwem – właściwie nie było. Na ten system składały się też merkantylizm, czyli przekonanie, że posiadanie kruszców prowadzi do bogactwa, w związku z czym należy kontrolować ich obieg, a także monopole państwowe i przywileje cechowe. Wybra-

nym grupom oddawano władzę nad rynkiem, uniemożliwiając wejście konkurencji. Wybitnie destrukcyjny dla rozwoju był też ekskluzywizm handlowy, w którego ramach kolonie mogły handlować wyłącznie z kolonizatorem, i to po narzuconych cenach.

Gospodarkę krępowały także ograniczenia mobilności – przypisanie chłopów do ziemi, zakazy zmiany zawodu lub miejsca zamieszkania. Brak mobilności uniemożliwiał wzrost „tortu” (dochodu), pozostawiając jedynie spory o jego podział, a całość stosunków gospodarczych podporządkowana była finansowaniu kolejnych wojen. I system ten – w wielu z tych warstw – dzisiaj powraca.

## Odległy ideał wolnego rynku

W idealnej wersji modelu globalnego kapitalizmu granice są tylko symboliczne. Przepływa przez nie wszystko – od towarów przez kapitały po ludzi – a jedynym czynnikiem, który o tym decyduje, są oddolne decyzje producentów i konsumentów. Nie ma ceł, pozwoleń o pracę i wiz, ale nie ma też socjalnego wsparcia. Nie ma ani zbędnych regulacji dla biznesu, ani subsydiów. Polityków nie interesuje, które firmy i jak robią ze sobą zgodne z prawem interesy. Nie istnieje polityka przemysłowa – nie ma ceł importu- ▷

wych ani eksportowych. Globalny rynek jest tak blisko konkurencji doskonałej, jak to tylko możliwe. Podział pracy i specjalizacja – fundamenty przewagi komparatywnej – działają wysmienicie.

To nie jest ideał w pełni osiągalny, ale od lat 80. XX w. do pierwszej dekady XXI w. świat zmierzał konsekwentnie w jego stronę. Ta konsekwencja osłabła jednak po kryzysie finansowym z 2008 r. i erodowała dalej wraz z pandemią i rosnącymi napięciami geopolitycznymi. Adam Smith w ujęciu politycznym się zdezaktualizował.

Po 2017 r. ten proces bardzo przyspieszył. Według globaltradealert.org po tej dacie liczba antyliberalnych instrumentów politycznych wprowadzanych przez państwa świata wzrosła z 200–600 do kilku tysięcy rocznie. Dużą ich częścią są cła. W trakcie drugiej kadencji Trumpa USA podniosły je średnio do poziomu ok. 20 proc., co stanowi powrót do... okresu międzywojnia. Co prawda rekordy z drugiej dekady XIX w., gdy średnia amerykańskich cel oscylowała wokół 60 proc., wciąż nie są pobite, ale czy dla Donalda Trumpa jest coś niemożliwego?

Globalnie średnie cła są wciąż dużo poniżej poziomów z XIX w. Wtedy wynosiły średnio 30–50 proc., a dzisiaj – ok. 3 proc. Średnia ta ukrywa fakt, że rządy zastępują cła efektywnymi barierami regulacyjnymi, np. systemem kwotowym. Jeśli np. rząd dopuszcza do importu X ton danego towaru po stawce celnej 3 proc., to z definicji oznacza zakaz importu wszystkiego, co powyżej X, funkcjonalnie równoważny z cłem na poziomie prohibitywnym. Na jedno wychodzi, a statystyki tego nie widzą.

Inna anomalia niewidoczna w globalnej średniej celnej to przekraczające 20 proc. cła między potężnymi blokami gospodarczymi – USA i Chinami, które to kraje odpowiadają przecież za ponad 40 proc. globalnego PKB. Biorąc to pod uwagę, można powiedzieć, że w rzeczywistości jesteśmy blisko preglobalizacyjnych poziomów barier w handlu międzynarodowym. A to, że ten handel wciąż ma potężne wolumeny, to wynik zespolonych w dobie szczytu globalizacji łańcuchów wartości w produkcji i konsumpcji oraz zmian technologicznych w transporcie.

Historia zatacza koło. Współczesna konfrontacja gospodarcza Waszyngtonu z Pekinem to echo paniki XIX-wiecznego Londynu wobec ekspansji Niemiec czy też podejmowanych przez Napoleona prób wyniszczenia Anglii przez odcięcie jej od rynków europejskich. Z kolei chińska strategia „Made in China 2025”, czyli plan transformacji chińskiego przemysłu z taniej produkcji w zaawansowaną technologicznie potęgę, jest cyfrową reinkarnacją francuskiego colbertyzmu (nacjonalizm gospodarczy) oraz pruskiego sojuszu „żelaza i żyta” z czasów Bismarcka (gdy lobby rolniczo-przemysłowe wymusiło ograniczenie konkurencji).

Napięcie na linii USA – Chiny to zderzenie neoprotekcyjnistycznej potęgi USA z neomerkantylistyczną machiną Państwa Środka. Niestety, w historii uruchomienie arsenału wojen handlowych zwiastowało przejście od rywalizacji o rynki do otwartego konfliktu militarnego.

## Bezrobotne WTO

Coraz silniejszych i bardziej wyrazistych analogii do czasów sprzed globalizacji jest dzisiaj więcej. Jeśli w XVIII w. francuscy bulioniści (prekursorzy merkantylizmu) utożsamiali bogactwo z posiadaniem w skarbcu złota i srebra, to dzisiejsze rządy zaczęły utożsamiać je z dostępem do metali ziem rzadkich czy kontrolą nad produkcją półprzewodników. Tytuł książki Chrisa Millera „Wojna o chipy” wcale nie jest nadużyciem. Stany Zjednoczone próbują utrzymać technologiczną dominację poprzez restrykcyjne kontrole eksportowe nakładane na półprzewodniki oraz masowe subsydia dla ich krajowej produkcji, czego symbolem stała się ustawa CHIPS and Science Act z 2022 r. oraz ogłoszenie w 2025 r. Pax Silica (bezpieczne łańcuchy dostaw w tym sektorze). Chiny odpowiadają na to strategią autarkii technologicznej: pompują dziesiątki miliardów dolarów w krajowych producentów chipów, jednocześnie wykorzystując swoją quasi-monopolistyczną pozycję w przetwórstwie metali ziem rzadkich jako instrument nacisku geopolitycznego. Już w 2010 r. wprowadziły ograniczenia eksportowe wobec Japonii w trakcie sporu dyplomatycznego, a w kolejnych latach systematycznie budowały przewagę poprzez licencjonowanie eksportu, kontyngenty i konsolidację sektora pod kontrolą państwowych czempionów.

W najnowszej odsłonie napięć technologicznych z USA Pekin sięgnął po instrumenty formalne, wprowadzając począwszy od 2023 r. kontrole eksportu na gal i german – kluczowe surowce dla półprzewodników i optoelektroniki. Trump komentował te posunięcia następująco: „Nie ma mowy, żeby Chinom pozwolono trzymać świat jako zakładnika, ale wydaje się, że taki był ich plan od dłuższego czasu. Ale Stany Zjednoczone również mają pozycje monopolistyczne, znacznie silniejsze i o szerszym zasięgu niż Chiny”.

Nic dziwnego, że zarówno w USA, jak i w Europie furorę zrobiły pojęcia friendshoringu i nearshoringu, które sprowadzają się do utrzymywania stosunków gospodarczych wyłącznie ze „swoimi”. Są one fundamentalnie sprzeczne z logiką wymiany rynkowej – bo to właśnie wymiana z „obcymi”, często „wrogami”, pozwalała ich oswajać – ale za to są zbieżne z kolonialnym ekskluzywizmem handlowym.

Powrót do ery preglobalnej odbywa się także w sferze mobilności ludzi (zaostrożenie polityk migracyjnych), poziomu konkurencji (obciążanie jednych przemysłów daninami i faworyzowanie innych, zwłaszcza w ramach polityk energetyczno-klimatycznych), a nawet w sferze będącej dzieckiem globalizacji – przestrzeni

internetowej. Kraje takie jak Rosja, Chiny, a także Indie i Turcja, budują „narodowe internety”. Pekin od lat rozwija Wielki Firewall, blokując zagraniczne platformy i zastępując je krajowymi odpowiednikami, podczas gdy Rosja wdraża infrastrukturę umożliwiającą autonomiczne funkcjonowanie Runetu w razie odcięcia od globalnej sieci. Indie idą drogą twardego wymogów lokalizacji danych i selektywnych zakazów aplikacji zagranicznych, a Turcja coraz szerzej stosuje prawo do administracyjnego blokowania treści i usług cyfrowych. Unia Europejska z dyrektywami typu DSA, DMA, AI Act czy narracją o suwerenności technologicznej stara się także w tej materii dotrzymać kroku innym. To merkantylizm danych: Informacja nie może swobodnie przepływać przez granice, musi być magazynowana i kontrolowana lokalnie. Jeśli więc ktoś dziwi się, dlaczego tracą na znaczeniu międzynarodowe organizacje współpracy gospodarczej takie jak Światowa Organizacja Handlu, to ma już odpowiedź: struktura, którą chciały nadzorować, zaczyna się rozpadać. Współpraca staje się akcydentalna, nie systemowa.

## Raj dla piratów i wojaków

Szukanie tropów odradzającego się gospodarczego ancien régime'u w perspektywie ostatniej dekady jest wyjątkowo łatwe. Pobrexitowa Wielka Brytania w 2021 r. tworzy specjalny urząd (Trade Remedy Authority), który ma przywrócić jej autonomię celną. W 2020 r. Indonezja zakazuje eksportu niklu. W 2015 r. Chiny uruchamiają system rozliczeń transgranicznych CIPS – alternatywę dla zachodniego SWIFT-u. W 2023 r. Amerykanie wymuszają na Holendrach zakaz sprzedaży Chinom maszyn ASML (skanery litograficzne niezbędne do produkcji chipów), co przywodzi na myśl XVIII-wieczny zakaz wywozu maszyn parowych z Anglii.

Do czego to wszystko zmierza? Jaki będzie świat, gdy porzuci (co wciąż mało prawdopodobne, ale nie niemożliwe) globalny kapitalizm?

Zacznijmy od tego, że obecnie światowy handel ma wartość ok. 34–35 bln dol. rocznie, z czego niemal 30 proc. przypada na usługi. Porzucenie globalnego kapitalizmu i ograniczenie współpracy gospodarczej do wyłącznie sprzymierzeńców po prostu sparaliżowałyby system produkcji, blokując jego cyfrową infrastrukturę (usługi biznesowe, IT, finanse, logistykę, licencje, chmurę, streaming, płatności itd.) Oznacza to potężną presję inflacyjną, a co za tym idzie, serię recesji i kryzysów budżetowych oraz rozchwianie systemów pieniężnych.

Świat podzieliłby się na bloki dużych rynków o różnym charakterze, które pozostawałyby wobec siebie w relacjach

kształtowanych przez bieżącą politykę. Unia Europejska byłaby zapewne rynkiem konsumującym. O jej skumulowane na przestrzeni wieków, ale wyczerpujące się bogactwo walczyłyby USA i Chiny, wrogie sobie potęgi eksportowe. Dzisiejsze państwa rozwijające się, które posiadają kluczowe zasoby naturalne, lawirowałyby pomiędzy ofertą Chin i USA. Sojusze z nimi byłyby nietrwałe, a ich rządy chimeryczne. Mielibyśmy także państwa pośredniczące, które starałyby się zachowywać neutralność i oliwić labilne relacje między wrogimi blokami – tak, jak dzisiaj robi to np. Turcja. Kluczowe w polityce zagranicznej państw małych i średnich – takich jak Polska – byłoby znów budowanie sojuszy i lawirowanie między nimi. Podporządkowanie zamiast wchodzenia w międzynarodowe struktury zarządzające.

Abstrakcyjne reguły handlowe odeśłyby w niepamięć – liczyłyby się przychylności największych. To, czy USA kupowałyby towary z Polski, zależałoby od tego, czy przyszli Trumpowie polubiliby przyszłych Nawrockich. Jeśli dominującym uczuciem względem przyszłości dzisiaj jest niepewność, to w świecie zglobalizowanym byłaby nim pewność nieprzewidywalności. W efekcie myślenie o dobrobycie materialnym miało być wyłącznie krótki horyzont, a inwestycje byłyby postrzegane jako ryzykowna fanaberia.

Rozczłonkowanie gospodarek pomiędzy różne bloki gospodarcze tworzyłoby duże różnice w poziomach cen, co z kolei prowadziłoby do powstania nowego rodzaju przemytu i piractwa. Przechwytywanie obcego frachtu przeciwiczyłyby skutecznie USA, zatrzymując tankowce powiązane z Rosją i Wenezuelą. Do takich zdarzeń dochodziłoby znacznie częściej. Prawo i praktyki handlowe podporządkowano by wyłącznie sile państwa – a nie dobrobytowi konsumenta.

Najbardziej ucierpieliby właśnie konsumenci, a więc zwykli ludzie. Niestabilność zatrudnienia, która dzisiaj co do zasady jest przeszłością (globalna stopa bezrobocia to zaledwie ok. 5 proc.), nagle znów stałaby się codziennością. Miejsca pracy pojawiałyby się punktowo tam, gdzie akurat w wyniku jakiegoś politycznego ruchu udało się odtworzyć łańcuchy wartości, i zniknęłyby tam, gdzie nowe napięcia blokowałyby rynki. Mielibyśmy też zapewne do czynienia z polityczną segmentacją konsumpcji. Dzisiaj iPhone'a może kupić każdy na świecie. W takim „nowym starym świecie” kupowałyby je tylko konsument z kraju sprzymierzonego.

Nierówności pomiędzy regionami wzrosłyby do poziomów alpejskich, przy których te dzisiejsze przypominają Góry Świętokrzyskie. Świat pełnego powrotu do ancien régime'u byłby daleki od stabilności i pokoju. Byłby najlepszą okazją do przetestowania prawdziwości powiedzenia, że „jeśli towary nie przekraczają granic, to zrobią to armie”.

Co wobec tego robić? Niektórzy przyjmują fatalistyczne podejście: skoro mamy taki trend, trzeba się do niego dostosować. Problem w tym, że dostosowanie się tylko go wzmocni i przyspieszy podróż ku, w najlepszym razie, nowej stagnacji.

©

Autor jest wiceprezesem  
Warsaw Enterprise Institute

Współczesna konfrontacja gospodarcza Waszyngtonu z Pekinem to echo paniki XIX-wiecznego Londynu wobec ekspansji Niemiec czy też podejmowanych przez Napoleona prób wyniszczenia Anglii przez odcięcie jej od rynków europejskich

# Historia

## Słodka wyspa

Stany Zjednoczone wydarły Kubę hiszpańskim kolonizatorom, obiecując jej mieszkańcom wolność i demokrację. Jednak największe korzyści z interwencji odnieśli amerykańscy plantatorzy

Plantacja trzciny cukrowej na Kubie



FOT. CULTURE CLUB/GETTY IMAGES

Andrzej

## Krajewski

Pod koniec stycznia Donald Trump zapowiedział, że nałoży nowe cła na wszystkie kraje, które sprzedają ropę naftową Kubie. W odpowiedzi władze w Hawanie oskarżyły USA o dążenie do „ekonomicznego ludobójstwa”. Zaostrzenie kursu przez Trumpa nasiliło spekulacje o możliwych planach obalenia komunistycznego reżimu panującego na Kubie od prawie 70 lat. Wielu sojuszników Trumpa kalkuluje, że tak operacja mogłaby się okazać dochodową inwestycją – podobnie jak wypędzenie z wyspy Hiszpanów pod koniec XIX w.

## Amerykańskie przeznaczenie

„W połowie XIX w. Kuba dominowała na światowym rynku cukru, dostarczając około jednej czwartej globalnej produkcji. Oddalone o niecałe 160 km i dysponujące relatywnie mniejszym sektorem cukrowniczym Stany Zjednoczone były jego naturalnym importerem” – pisze w artykule „Trading with Cuba” Tim Sablik. „Więzi między dwoma krajami zacieśniły się w 1884 r., gdy światowe ceny cukru gwałtownie spadły, co doprowadziło do bankructwa wiele kubańskich cukrowni. Amerykańskie firmy zainwestowały znaczne pieniądze w rewitalizację i unowocześnienie tego sektora” – dodaje.

W drugiej połowie XIX w. w Stanach Zjednoczonych popularność zdobywała idea „objawionego przeznaczenia” (Manifest Destiny). Jej autor, dziennikarz i dyplomata John Louis O’Sullivan, przekonywał, że wolą boskiej opatrności jest to, aby USA przejęły kontrolę i ucywilizowały całą Amerykę Północną. W gronie zwolenników „objawionego przeznaczenia” znalazł się m.in. republikański senator i historyk Henry C. Lodge, który widział Stany Zjednoczone na pozycji światowego mocarstwa. W marcu 1895 r. na łamach czasopisma „Forum” Lodge opublikował artykuł „Our Blundering Foreign Policy” („Nasza błędna polityka zagraniczna”), który z czasem uznano za rozwinięcie myśli O’Sullivana i nazywano „nowym objawionym przeznaczeniem”. Wedle senatora budowa dobrobytu wymaga od USA poszerzenia swojej strefy wpływów. „W interesie naszego handlu i pełnego rozwoju powinniśmy zbudować kanał przez Nikaraguę, a w celu obrony tego kanału i ustanowienia handlowej przewagi na Oceanie Spokojnym powinniśmy kontrolować Hawaje i utrzymywać swoje wpływy na Samoa” – pisał Lodge. I dodawał: „Kiedy kanał przez Nikaraguę zostanie zbudowany, Kuba (...) stanie się dla nas nieodzowna”. Poglądy Lodge’a podzielało coraz więcej wpływowych ludzi polityki, w tym jego dobry znajomy, zastępca sekretarza marynarki wojennej Theodore Roosevelt. ▷

## Hiszpańskie okrucieństwo

11 kwietnia 1895 r., niespełna miesiąc po ukazaniu się artykułu, na Kubie wybuchło antyhiszpańskie powstanie. Rządzący wyspą w imieniu Madrytu gubernator Valeriano Weyler sięgnął po terror, by spacyfikować rebelię. Jednym z jego autorskich pomysłów, który Brytyjczycy wykorzystali później podczas wojny burskiej, były obozy koncentracyjne. Podejrzanych o pomaganie partyzantom mieszkańców wsi i miasteczek przymusowo przesiedlano do strzeżonych ośrodków. Tych, którzy stawiali opór, mordowano.

Amerykańską opinię publiczną zszokowały okrucieństwa Hiszpanów, szeroko opisywane przez dzienniki należące do dwóch największych magnatów prasowych: Williama Randolpha Hearsta i Josepha Pulitzera. Obaj biznesmeni należeli do gorących zwolenników „objawionego przeznaczenia”. Jak twierdzi John Maxwell Hamilton: „Wojna na Kubie była dla Amerykanów najważniejszym tematem zagranicznym. Według niektórych szacunków w ciągu trzech lat poprzedzających wojnę ok. 75 korespondentów relacjonowało przebieg kubańskiego powstania, a 200 dotarło na wyspę po tym, jak w 1898 r. ruszyli tam Rough Riders (1 Regiment Kawalerii Ochotniczej pod dowództwem Theodora Roosevelta – red.)”.

Choć Kongres uznał powstańców za stronę walczącą, to prezydent Grover Cleveland z Partii Demokratycznej nie palił się do niesienia im pomocy zbrojnej. Również jego następcą, republikanin William McKinley, ociągał się z odsieczą mimo presji ze strony prasy i polityków wyznających doktrynę „objawionego przeznaczenia”. Przełom nastąpił z początkiem 1898 r., gdy Amerykanów rozpałiły dwa wydarzenia. „Pierwszym z nich było opublikowanie prywatnego listu ambasadora hiszpańskiego w Waszyngtonie, w którym autor wyrażał się lekceważąco o McKinleyu. Jednak o wiele większy wstrząs wywołała eksplozja na amerykańskim okręcie wojennym USS «Maine» zacumowanym w porcie hawańskim” – pisze w monografii „U.S. Marines jako narzędzie polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych Ameryki” Robert Kłosowicz.

Wybuch na krążowniku „Maine” i śmierć 260 członków załogi skłoniły prezydenta do porzucenia pacyfizmu. Choć nie było dowodów, że to Hiszpanie wysadzili okręt w powietrze, frakcja „jastrzębi” – z senatorem Lodge’em i Rooseveltem na czele – zadbała o rozpowszechnienie tej wersji z pomocą gazet Hearsta i Pulitzera. W kwietniu 1898 r. Kongres uznał niepodległość Kuby i upoważnił McKinleya do użycia siły przeciwko Hiszpanii. Jednocześnie przyjęto poprawkę senatora Henry’ego M. Tellera, która miała zagwarantować, że po wyrzuceniu Hiszpanów z wyspy Stany Zjednoczone jej nie anektują, lecz zadbają, by powstało tam niepodległe państwo.

## Wyzwolenie i cukier

Szybkie zwycięstwo nad krajem, który dawno temu stracił status kolonialnego

mocarstwa, wzmocniło pozycję zwolenników wojny. „Nowe objawione przeznaczenie” przekierowało politykę zagraniczną USA na nowe tory. Roosevelt był tak uwielbiany, że przed kolejnymi wyborami McKinley musiał zaoferować mu wiceprezydenturę.

Na mocy traktatu paryskiego z grudnia 1898 r. Hiszpania zrzekła się Kuby, a wyspa znalazła się pod zarządem USA. Stanowisko gubernatora objął gen. Leonard Wood, lekarz wojskowy, który doglądał zdrowia prezydenta McKinleya i przyjaźnił się z Rooseveltem. „Wood uważał, że dzięki kapitałowi można skutecznie wpływać na formowanie w regionie państw o zdrowej gospodarce i rządach przyjaznych USA” – relacjonuje Robert Kłosowicz. Gdy po śmiertelnym zamachu na McKinleya Roosevelt został prezydentem, gubernator Kuby zaapelował do niego w liście: „Dlaczego nie mielibyśmy pomóc jej (Kubie – red.) w budowie gospodarki i dobrobytu? Nie ulega wątpliwości, że jest to lepsze, niż mieć u bram zdemoralizowaną i biedną wyspę, jak Santo Domingo i Haiti”.

Opinie generała szły w parze z wiarą w uzdrawiającą moc amerykańskiego kapitału. Gubernator otworzył wyspę na inwestycje, na początek wydając firmom z USA 218 koncesji na wydobycie surowców mineralnych. Zachęcał też przedsiębiorców z innych branż. „Wśród pierwszych dużych inwestorów znalazł się Percival Farquhar, który przybył na wyspę jeszcze w 1898 roku z projektem elektryfikacji hawańskich tramwajów i budowy linii kolejowej z Hawany do Santiago de Cuba. Minor Keith, który założył United Fruit Company, w 1899 roku kupił 80 tysięcy hektarów ziemi w pobliżu Zatoki Nipe. Amerykańska spółka tytoniowa Tobacco Trust nabyła 90 tysięcy hektarów ziemi w Pinar del Rio i objęła kontrolą 90 proc. eksportu kubańskich cygar” – wylicza Robert Kłosowicz.

Amerykańskich biznesmenów szczególnie interesował przemysł cukrowniczy, stanowiący kluczową gałąź gospodarki wyspy. Amerykańskie spółki, takie jak Cuban-American Sugar Company i Guantanamo Sugar Company, wykupiły rozległe plantacje trzciny, by zwiększyć produkcję „słodkiego” bogactwa. „Z 160 mln dol. zainwestowanych do 1906 r. 30 mln dol., czyli 18,7 proc., trafiło do przemysłu cukrowniczego. Całkowite inwestycje w rolnictwo (cukier, tytoń, owoce i bydło) wyniosły 96 mln dol., czyli 60 proc.” – wylicza w opracowaniu „Cuban Agriculture Before 1959: The Political and Economic Situations” José Alvarez. Wprawdzie poprawką Tellera Kongres obiecał Kubańczykom niepodległość, ale na przeszkodzie stanęły interesy ekonomiczne USA.

## Niepodległość do poprawki

W 1900 r. pod okiem gubernatora Wooda przeprowadzono wybory do kubańskiego Zgromadzenia Narodowego, które rok później przyjęło konstytucję wzorowaną na amerykańskiej. Zanim Stany Zjednoczone przystąpiły do wycofywania swoich wojsk,

w Waszyngtonie rozgorzała debata, czy dotrzymać zobowiązania. Zwolennicy „objawionego przeznaczenia” – coraz częściej nazywani ekspansjonistami – domagali się utrzymania pełnej kontroli nad wyspą w celu ochrony amerykańskich interesów. Natrafili jednak na opór tradycjonalistów, którzy opowiadali się za respektowaniem prawa.

W marcu 1901 r. zawarto w końcu kompromis, który przekuto w poprawkę do ustawy o wydatkach wojskowych, zgłoszoną przez senatora Orville’a H. Platta. „Upoważnia się niniejszym prezydenta do pozostawienia rządu i kontroli wyspy Kuby jej narodowi, gdy tylko będzie ustanowiony na tej wyspie rząd, który w konstytucji albo specjalnym dekreście określi przyszłe stosunki Kuby ze Stanami Zjednoczonymi na następujących zasadach” – stwierdzała poprawka. Nakazywała ona Kubańczykom wpisanie do konstytucji zakazu zawierania traktatów z państwami, które zagrażają interesom USA lub stabilności politycznej i ekonomicznej wyspy. Gwarantowała też Stanom Zjednoczonym bazę morską w Guantánamo. Ostatni punkt brzmiał: „Kuba wyraża zgodę, by USA posiadały prawo interwencji w celu zachowania niepodległości oraz utrzymania rządu zdolnego zapewnić ochronę życia, własności i wolności indywidualnej obywateli”.

Początkowo kubańskie Zgromadzenie Narodowe nie chciało słyszeć o poprawce Platta. Jego podejście uległo zmianie po tym, jak gubernator Wood oświadczył, że amerykańskie wojska pozostaną na wyspie, dopóki życie w Waszyngtonie nie zostanie spełnione. Ostatecznie deputowani ustąpili, gdy sekretarz wojny USA Elihu Root dał im słowo honoru, że prawo do interwencji nie będzie oznaczać mieszania się w wewnętrzne sprawy Kuby. 20 maja 1902 r. wpisano poprawkę Platta do kubańskiej konstytucji, a amerykańscy żołnierze odplynęli do ojczyzny. Biznesmeni pozostali.

## Wielki Brat interweniuje

„Do 1905 roku około 13 tysięcy amerykańskich obywateli weszło w posiadanie nieruchomości na Kubie, których ogólna powierzchnia wynosiła 1,8 miliona hektarów, co stanowiło 15 proc. obszaru wyspy” – pisze Robert Kłosowicz. Inwestorzy z USA szybko przejęli dużą część nie tylko ziemi uprawnej, lecz także przemysłu przetwórczego. Perspektywa wielkich zysków wabiła na wyspę kolejne spółki. „Wartość inwestycji USA w okresie 1909–1913 szacowano na 205 mln dol. Na cukier przypadało 50 mln dol., czyli 24,4 proc., a na rolnictwo 10 mln dol.” – podkreśla José Alvarez.

Za sprawą amerykańskiego kapitału Kuba stała się jednym z największych producentów cukru na świecie. Ponad 60 proc. eksportu trafiało do Stanów Zjednoczonych, co jeszcze bardziej uzależniło gospodarkę wyspy od protektora. Nieliczna lokalna elita czerpała z tego biznesu ogromne korzyści, w zamian okazując Waszyng-

tonowi lojalność. Większość Kubańczyków – tak jak za rządów Hiszpanów – nadal żyła w ubóstwie. Co więcej, amerykańskie firmy zaczęły sprowadzać do pracy na plantacjach konkurencję z Haiti i Jamajki. Kubańskie władze nie miały możliwości działania, bo Amerykanie uznawali swoją prywatną własność za świętość.

Wszystko to przyczyniło się do zaostrenia sporu między konserwatystami a liberałami. „W sierpniu 1906 roku na Kubie doszło do wybuchu wojny domowej pomiędzy konserwatywnym rządem Tomasa Estrady Palmy i Partią Liberalną. Obie strony konfliktu chciały spowodować interwencję Stanów Zjednoczonych po swojej stronie, powołując się na poprawkę Platta” – opisuje Kłosowicz. Jedni i drudzy poprosili Waszyngton o przysłanie marines. Rebelianci domagali się też rozpisania nowych wyborów pod nadzorem USA. „Aby przyspieszyć interwencję amerykańską, powstańcy zaczęli pustoszyć plantacje cukrowe i niszczyć linie kolejowe należące do spółek amerykańskich” – podkreśla Kłosowicz.

Prezydent Roosevelt obawiał się uwikłania amerykańskich sił w kubańską wojnę domową. Dopiero marsz powstańców na Hawanę skłonił go do ostrzejszej reakcji. Złożony z 5 tys. żołnierzy piechoty morskiej korpus ekspedycyjny spacyfikował konflikt, a sekretarz wojny William H. Taft objął nadzorem wybory prezydenckie w 1908 r. Zwyciężył w nich kandydat zbuntowanych liberałów José Miguel Gomez.

Chaos na wyspie spowodował zmianę podejścia Waszyngtonu. Wybuchające co jakiś czas strajki i lokalne bunty postrzegano już nie jako wewnętrzny problem Kuby, lecz zagrożenie dla amerykańskich interesów. „Miało to konsekwencje w postaci powstania wśród polityków Waszyngtonu tzw. plattowskiej mentalności (Plattist Mentality), która sprowadzała się do wysyłania oddziałów interwencyjnych piechoty morskiej w odpowiedzi na każde poważniejsze oznaki niepokoju na wyspie” – podkreśla Kłosowicz.

Szacuje się, że w 1911 r. dwie trzecie kubańskiej gospodarki znajdowało się w rękach Amerykanów. Z perspektywy miejscowej ludności kolonizatorów z Hiszpanii zastąpili nowi, o wiele potężniejsi i bardziej przebiegli okupanci. Rok później brygada marines pod dowództwem płk. Lincolna Karmany’ego stłumiła pierwsze antyamerykańskie powstanie w prowincji Oriente. Wprawdzie prezydent Gomez poprosił Waszyngton, by powstrzymał się od interwencji, ale atakowani przez buntowników właściciele plantacji mieli większą siłę przebicia. Historia powtórzyła się w nieco innej odsłonie w 1917 r., gdy wojska USA wkroczyły na wyspę, by wygasić następną wojnę domową. Krucha demokracja chyliła się ku upadkowi. Ostateczny cios zadał jej bohater wojny o niepodległość Gerardo Machado, ustanawiając w 1925 r. dyktatorskie rządy. W Waszyngtonie przyjęto to ze zrozumieniem. Dyktator skutecznie pacyfikował niepokoje społeczne i trzymał kraj w ryzach. A tym samym ułatwił życie amerykańskim inwestorom. ©

# Kultura

## A latem niosła się FAMA

Kiedy do Świnoujścia przyjeżdżali młodzi artyści, całe miasto żyło, jakby był karnawał. Szalony, ale ambitny. Paradoksalnie festiwal zabiły... pieniądze od reklamodawców

Konrad

Wojciechowski

Marek Grechuta  
i zespół Anawa. FAMA,  
Świnoujście, 1970 r.

Początek roku to czas... planowania wakacyjnego wypoczynku. Organizatorzy letnich festiwali już głośno informują o artystycznych atrakcjach 2026 r., które czekają na fanów Open'era, OFF-a czy Jarocina i zachęcają widzów do kilkudniowego przyjazdu. Na wielu podobnych do siebie imprezach zagrają gwiazdy spotykane co roku – tyle że za każdym razem w innym mieście. Będą koncerty, gdzie indziej wystąpią kabarety, a jeszcze gdzieś odbędzie się festiwal filmowy.

W bogatej ofercie kulturalnej coraz trudniej dostrzec cokolwiek wyjątkowego. Stąd żywa tęsknota za FAMA – Festiwalem Artystycznym Młodzieży Akademickiej, który od połowy lat 60. stanowił wyjątek na festiwalowej mapie Polski. Jak pisze Jarosław Molenda w niedawno wydanej książce „FAMA. Artystyczna legenda PRL-u”, był „wyzwaniem rzuconym sztamponem, uporządkowanym imprezom masowym”. „Żywiołowa szajba”, „zaczyn kontrkultury”, „antfestiwal” – mnoży określenia. A cytowani bohaterowie twierdzą, że był to dla nich „trzeci semestr nauki bycia artystą”.

### Broda, gitara i kraciasta koszula

FAMA miała silnie wyeksponowany w nazwie rdzeń akademicki, jednak chodziło przede wszystkim o propo-

zycję intelektualną. Nikt nikomu do indeksu nie zaglądał i ważności legitymacji studenckiej nie sprawdzał.

– Studiów nigdy nie skończyłem, przez kilka lat byłem studentem pierwszego roku, żeby nie dać się wcielić do Ludowego Wojska. Włączyłem się zatem po festiwalach, jeździłem z miasta do miasta, a papiery z WKU ledwo za mną nadążały – opowiada ze śmiechem Piotr Bukartyk, artysta związany z estradą, piosenką poetycką i ze środowiskiem studenckim od początku lat 80. Wielokrotnie odwiedzał imprezy tego pokroju – Olsztyńskie Spotkania Zamkowe, Studencki Festiwal Piosenki w Krakowie, do Świnoujścia na FAMA także zaglądał. – Pierwszy raz przyjechałem tam bodaj w 1983 r. – przypomina sobie Bukartyk. W tym czasie był w klasie maturalnej. Właśnie w ogólniaku zaczął startować w konkursach z poezją. – Polonistka, bardzo mi życzliwa i świadoma moich pierwszych, żalonych eksperymentów piosenkarskich, zaproponowała, abym wziął udział w konkursie. Znalazłem w tygodniku „Razem” wiersz młodej poetki o starych ludziach, którzy jesienią głębiej oddychają, i ułożyłem do niego dwa akordy, w porywach do trzech, bo tylko tyle znałem. Wiersz był smutny i mroczny. Wystąpiłem w konkursie i awansowałem do powiatowego czy wojewódzkiego szczebla. Przyjechał krytyk ze Szczecina i orzekł: „Młody człowieku, pan za bardzo naśladuje Jana Wołka”. Pomyślałem: „Cholera, a kto ▷



FOT. HARRY WEINBERG/FOTONOVA

to jest?”. Jako uzdolnionego licealistrę zaproszono mnie z półrecitalem do Nowej Soli. Tam zobaczyłem gwiazdę wieczoru. Wyszedł brodaty gość z 12-strunową gitarą i zaśpiewał. To był Janek Wołek. Zapamiętałem fragment piosenki: „Bo myślenie ma wrogów nie tylko w idiotach, więc panować nad sobą to najwyższa władza”. Ta myśl życiowa została ze mną na długo – opowiada Bukartyk.

Słynny w studenckim środowisku brodaty bard był od Bukartyka o 10 lat starszy. W latach 70. seryjnie wygrywał studenckie festiwale, stał się legendą FAM-y, gdzie został uznany za „największą indywidualność twórczą” w 1977 r. Pisano o nim, że językiem śpiewanej miniatury wyraża prawdę o ludziach, porównywano do Jonasza Kofty. Broda, gitara i kraciasta koszula służyły za całe oprzyrządowanie barda. Idol czuł się wśród fanów jak w domu, choć rodzinną Warszawę od Świnoujścia dzielił szmat drogi: „Artysta przyjeżdżał do klubów studenckich, do ludzi, którzy czuli się owieczkami jego stada. Była pewna wspólnota uczestnictwa” – wyjaśniał Wołek w rozmowie z autorem książki „FAMA. Artystyczna legenda PRL-u”.

Jak wspomina Bukartyk, praca twórcza miała w Świnoujściu bardzo... artystyczne tempo. Jedną edycję w zasadzie przesiedziało, grając w kierunku m.in. z wybitnym gitarzystą Januszem Stroblem. Innym razem trzeba było się wykazać nie karcianą biegłością, tylko twórczą zręcznością i dostarczyć organizatorom festiwalu zamówione teksty. Pięćdziesiąt tekściarzy pisało wiersze dla pięciorga kompozytorów, którzy zamknęli je w piosenkowej formie, a adepti sztuki aktorskiej dostali za zadanie je zaśpiewać. I tak nazwisko Bukartyka pojawiło się w szacownym gronie twórców obok Andrzeja Poniedziałkiego, Magdy Czaplińskiej i wspomnianego Wołka. – Zapraszano mnie chyba głównie dlatego, że zawsze miałem bardzo dużo piosenek – przypuszcza z rozbawieniem Bukartyk.

## Testowanie tolerancji

Do Świnoujścia przyjeżdżali artyści z całej Polski: teatry, kabarety, big bandy, plastycy oraz zespoły tańca. Kiedy na FAM-ie gościł zespół ludowy z Lublina, całe miasto przeżyło komunikacyjny paraliż. To jeszcze nic w porównaniu z zamieszaniem, jakie wywołali happeningy z Gdańska. Formacja Totart słynęła z akcji plenerowych. Zorganizowała np. happening „Szałet naszym schronem” i zaangażowała studentów do czyszczenia miejskich toalet. Nie spodobało się to miejscowemu urzędowi spraw wewnętrznych. Czarę goryczy przelał striptiz jednego z artystów w centrum miasta. Niepokorni goście dostali zakaz wstępu na FAM-ę.

Takie absurdalne zapędy twórcze testowały tolerancję władz na awangardę w sztuce. Ale nie były na festiwalu pierwszą. Trudno uznać, że to tu narodził się polski performance, ale z pewnością od samego początku był to stały punkt imprezy. Aktorzy Teatru Ósmego Dnia recytowali wiersze, stojąc wzdłuż plaży. Przyjezdni z Krakowa – satyryk Marek Pacuła z malarzem Janem Sawką – sprzedawali piwo

## FAMA miała w nazwie wyeksponowany rdzeń akademicki, jednak nikt nikomu w indeks nie zaglądał i nie sprawdzał ważności legitymacji studenckiej

w morzu na głębokości „powyżej kolan” tylko klientom w ubraniu. Dla zakochanych przewidziano możliwość podziwiania zachodu słońca przez ramę do obrazu na plaży.

Z oryginalnych pomysłów słynął Maks Szoc nazywany polskim Salvadorem Dali, malarz, scenograf, conceptualista, twórca awangardowych teatrów plastycznych. I ekscentryk. Śmieszył, poruszał, bulwersował. Współtworzył hymn festiwalu, przygotowywał scenografię, no i happeningi. Pewnego razu zorganizował koncert na zakończenie FAM-y. Na dziedzińcu występują uczniowie technikum, płynie uroczysta piosenka i nagle reflektory kierują się na ścianę bloku, a w siedmiu oknach siedmiu mężczyzn wypina w stronę widowni gołe pośladki.

## Rock mile widziany

FAMA była gościnną zarówno dla osobowości o wyrobionej renomie (Kofta, Kleyff, Kaczmarek, Rodowicz), jak i dla ambitnych amatorów, którzy dopiero za czas jakiś mieli przejść na zawodowstwo albo zaistnieć publicznie niekoniecznie z powodów artystycznych. W połowie lat 70. do Świnoujścia przyjechał wówczas szerzej nieznany Jurek Owsiak. Wtedy jeszcze nie myślał o powołaniu Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy i organizowaniu Pol’and’Rocka. Miał za towarzyszy artystów ze stołecznego klubu Dziekanka i razem z nimi wystawiał zabawne teatrzyki.

Kilka lat wcześniej na festiwalu pokazał się Zbigniew Holdys. Przyszły twórca Perfectu razem z koleżankami i kolegami ze studia piosenki RH Minus wystawiał na FAM-ie beatowe oratorium „Wyprawa do Atlantydy”. Nadmorski festiwal nie mógł przegapić nowych trendów i epatować publiczności jedynie jazzem, kabaretem czy poezją śpiewaną. W 1983 r. zorganizowano koncert „Zbuntowane dzieci Babilonu”, rok później rockowa alternatywa wystąpiła w programie pt. „Śmietnik”, a na kolejną edycję FAM-y muzycy przyjechali „Śladami demobilu”. Pod szyldem babilońskiej gawiedzi wystąpili m.in. Śmierć Kliniczna, Izrael oraz DAAB, z którym w Świnoujściu poznał się przyszły gitarzysta i wokalista tego zespołu Andrzej Krzywy.

– Pojechałem z Toską Krzysztom, która nie miała co zrobić z potomstwem. W ciągu dnia pilnowałem jej dzieci, a wieczorami grywałem reggae na deptaku, żeby zarobić na piwo. Przystanęli koło mnie koledzy z DAAB-u i tak się poznaliśmy – opowiada Andrzej Krzywy, który rok później znów odwiedził FAM-ę i wystąpił na scenie z DAAB-em jako pełnoprawny muzyk tej formacji.

Na miejscu poznał nie tylko kolegów „regałowców”. Jak na interdyscyplinarny festiwal przystało, FAMA sprzyjała spotkaniom ponad muzycznymi podziałami. Przyszły wokalista

De Mono nawiązał znajomość z Wojciechem Belonem z Wolnej Grupy Bukowina, późniejszymi dziennikarzami Jarosławem Gugą i Filipem Łobodzińskim oraz resztą Zespołu Reprezentacyjnego. Otarł się też o barda Jacka Kaczmareckiego. Impreza, choć studencka, nie dzieliła artystów na „prawdziwych” i mainstreamowych ani na lepsze i gorzej wykształconych.

– Nikt się nie wywyższał, chociaż poziom wykonawczy był wysoki. Dzisiaj w modzie są panele dyskusyjne, wtedy używano języka artystycznego, który wysławiał się poprzez absurd i niepokorność. Na FAM-ie czuliśmy się bezpiecznie, nawet jeśli dookoła maszerowali ulicami dziwnie wyglądający performerzy. Z kolei w Jarocinie należało zachować czujność i oglądać się za siebie, czy człowiek nie oberwie w głowę w wyniku wojenek subkultur, w tym częstych zadem z udziałem łysych punków i długowłosych metalowców – opowiada Krzywy.

Owszem, w Świnoujściu też pannały warunki polowe. Młodzi muzycy sypiali na polu namiotowym. Wokalista De Mono pamięta pobudki, które wczesnym ranem urządził pozostałym Jacek Szafir ze Śmierci Klinicznej, gdy rozgrzewał głos piosenkami Boba Marleya. Bardziej uznani artyści mieszkali w hotelach. Młody reżyser Leszek Szopa, zakwaterowany ze znanym dziennikarzem Andrzejem „Ibisem” Wróblewskim, musiał wychodzić z pokoju, kiedy starszyzna dyskutowała, a w odwiedzinach do krytyka „Życia Warszawy” przychodziła na pogaduchy Olga Lipińska. „Wygnaniec” spędzał czas z bliższym mu rocznikowcem Marcinem Wolskim. Późniejszy twórca „Polskiego zoo” gościł na FAM-ie w charakterze kierownika literackiego kabaretu Stodoła i przywoził nagradzane spektakle („Telefon zaufania”) oraz piosenki („Cichy przebój”).

## Przyjezdni inspirowali miejscowych

Pochodzący ze Świnoujścia Andrzej Smolik – kompozytor i multiinstrumentalista, który współpracował m.in. z Wilkami, Heyem oraz Myslovitz – przez cały rok szkolny czekał na wakacje także dlatego, że latem odbywało się wielotygodniowe święto kultury i sztuki.

– Moje rodzinne miasto leży na totalnych rubieżach. I nagle dzięki FAM-ie co roku coś zaczynało się tu dziać. Wpadali kabareciarze, poeci, muzycy, performerzy. Przyjeżdżna subkultura ludzi kreatywnych. Nieokrzyszana awangarda. Pamiętam występ Totartu, nagich ludzi biegających w pianie. Niepokorna sztuka obsiadała ulice, promenady, plaże. Przywozili wiatr, który dmuchał nam w żagle – opowiada Smolik.

Pod wpływem letnich inspiracji rozstawał się z kolegami na promenadzie i wykonywali kawałki Velvet Undergro-

und. Nie był studentem, chodził wówczas do liceum, co nie przeszkadzało w nawiązywaniu znajomości ze starszymi i bardziej doświadczonymi artystami. Podczas festiwalu Andrzej i jego koledzy ze Świnoujścia podpatrywali przy pracy twórców wizualnych goszczących na FAM-ie. Jeden z kolegów Smolika zagrał nawet w krótkim filmie, który nakręcili zawodowcy. Produkcja doczekała się nawet prezentacji w telewizji.

– Mój kolega Paweł był resortowym dzieckiem. Jego ojciec zarządzał przedsiębiorstwem połowowym, rodzina posiadała ekskluzywną willę w Świnoujściu: pięknie wykończoną w drewnie, z drogimi meblami. Starzy wyjechali i zostawili dom pod opieką syna, który zaprosił do siebie ekipę realizacyjną. Paweł udawał właściciela i pokazywał pełną przepychu willę, mówiąc skromnie o bogatym wyposażeniu: „Co przyniesie morze, to mam”. Rodzice Pawła po powrocie do Polski włączyli telewizor i traf chciał, że akurat natknęli się na film wyemitowany przez TVP, na którym widać ich mieszkanie i syna w roli gospodarza. Nie byli zachwyceni – śmieje się Smolik.

## Cenzura i безпеka

Tam realizowano teledyski do piosenek artystów związanych właśnie z akademickim festiwalem. – Nakręciłem teledyski dla Andrzeja Sikorowskiego i Ani Treter z grupy Pod Budą. Dwa klipy zrobiłem dla Jana Wołka, przy czym obrazek do „Piosenki dla chłopców od Breugle’a” został zatrzymany przez cenzurę – opowiada Leszek Szopa.

Jak opisuje w książce Molenda, cenzura nie wydała zgody na happening „Siedem stacji męczeństwa polskiej kultury”, ponieważ młodzi artyści „nie przedstawili wiarygodnych wyjaśnień”, o czym jest ich sztuka. Inna historia dotyczy spektaklu „Łażnia” na podstawie dzieła Włodzimierza Majakowskiego. Reżyser Andrzej Rozhin z Teatru Osterwy z Gorzowa Wlkp. miał pozwolenie na wystawienie sztuki tylko na scenie gorzowskiej. Decydenci ze Świnoujścia doszukanali się w tekście ukrytych antysowieckich wstawek, które miały wybrzmieć ze sceny, a w ich mieście była baza wojskowa. Cenzura wolała nie ryzykować i nie narażać na szwank przyjaźni polsko-radzieckiej.

Represje dotknęły w końcu wszystkich uczestników – w postaci czasowej likwidacji festiwalu. Odbył się w 1977 r., a potem zniknął do roku 1983. Dlaczego? Nikt tego wprost nie wyjaśnia. Na archiwalnej stronie FAM-y czytamy o braku zgody władz. Autor książki rzuca dodatkowe światło. Publikuje notatki operacyjne Służby Bezpieczeństwa, która przeprowadzała działania operacyjne pod kryptonimem „Kabareton” w celu m.in. „przeciwdziałania różnym formom przestępczości kryminalnej i demoralizatorskiej” w ramach działalności kulturalnej.

Jak pisze Jarosław Molenda, utyskiwano też na artystyczny uwiąd festiwalu i jego spowszednienie. A jeszcze kilka lat wcześniej prasa rozpyływała się nad świnoujską imprezą. Pisano o kontrfestiwalu, który biegnie pod prąd trendom i nie kłania się festiwalowej rutynie. Zachowuje antykomercyjny profil, ponieważ nie płaci uczestnikom za występy, co wycho-

## MUZYKA

wawczo wpływa na młodzież. Studenckość symbolizowała niewykalkulowaną spontaniczność, choć kojarzona z amatorstwem bywała odbierana pobłażliwie jako sztuka niedostatecznie dobra. Z jednej strony ratowano się ściąganiem zawodowców, z drugiej – narzekano z powodu przechodzenia studentów... na zawodowość. Piosenkarze, jazzmani, satyrycy, rysownicy robili karierę w telewizji, wyjeżdżali w świat, a następcy chcieli zbyt szybko pójść w ich ślady – im także marzyła się kariera i praca w mediach. Z tą różnicą, że w sztuce szukali estradowej sławy. Kuźnia talentów zamieniła się w inkubator przedsiębiorczości. „Twórczość zaczęła zastępować prezentacja, autentyczność – poza, spontaniczność i improwizację – konwencja” – diagnozuje w książce Molenda.

## Telewizja dla plażowiczów

W opinii wielu FAMA miała wybitnie karnawałową konstrukcję. To zdanie podziela Piotr Bukartyk. Wraca do wspomnień, jak przechadzał się świnoujską plażą i spotykał nad morzem piękną dziewczynę, której nie potrafił zapomnieć. Żeby tylko jedną... Właśnie podczas FAM-y spotkał najwięcej kobiet swoich marzeń i wielokrotnie wracał zakochany z nadmorskich spacerów.

Z biegiem lat festiwal przestał trafiać w swój czas. W połowie lat 90. FAMA zyskała patronat telewizyjny i trafiła do letniej ramówki TVP 2, aby kulturalne zmagania mógł obserwować przeciętny widz. Przez to impreza zrobiła się przeciętna. Molenda pisze o skróceniu czasu trwania festiwalu do dwóch tygodni, bo tylko na tyle starczało pieniędzy od reklamodawców. FAM-ę zapowiadali znani spikerzy, a nie wytypowany przez organizatorów artysta, który nie cieszył się rozpoznawalnością. Ucierpiała festiwalowa obsada. Mile widziani byli popularni wykonawcy. Kto by chciał oglądać nikomu nieznanym studentów i wysłać uwagę dla niesłyszanego dotąd piosenki czy nieoglądanego skeczu? Festiwalowa idea jeszcze do niedawna sprzyjała kreowaniu nowych zjawisk i nazwisk w kulturze, ale kiedy telewizja sięgnęła po gwiazdy z estradowym dorobkiem, widz dał się przekonać, że najlepsza piosenka to ta, którą się słyszało już setki razy.

– Pamiętam spotkania na plaży z telewizją, która na potrzeby FAM-y nagrywała zaproszonych artystów, w tym mnie. I jakoś ten świat studencki nie przystawał do świata telewizyjnego. Wysła z tego zabawa w stylu festiwalu piosenki biesiadnej. A przecież kabaret studencki kojarzy się z nie dla każdego dostępnym, inteligentnym poczuciem humoru i niekoniecznie budzi zainteresowanie przeciętnego plażowicza. Natomiast telewizja publiczna kierowała się głównie do plażowicza – konstatuje ponuro Bukartyk. – Dziś życie studenckie przestało być czymś wyjątkowym i do niczego nie zobowiązuje. Politycy szydzą z „wykształciuchów”. Jesteś wykształcony, znasz języki, więc to nie jest powód do dumy, tylko do wstydu – taki płynnie przekaz. To, co kiedyś miało cię wyróżniać, jest w tej chwili obśmiewane – podsumowuje. ©

# Pod prąd czasu, na przekór światu

**Nie miałem pojęcia o istnieniu Róży Ostrowskiej. Tym bardziej cieszę się z odkrycia – chodzi bowiem o twórczynię nietuzinkową i oryginalną**

Piotr

## Kofta

Po 20 latach pracy w branży, nazwijmy to, krytyczno-recenzenckiej, odczuwam ogromny przesyt wszystkim, co nowe. Bo też praca ta polega w dużej mierze na próbach odfiltrowania rzeczy literacko wartościowych z rwącego strumienia, w którym płynie również masa szlamu. W efekcie człowiek nastawia się poznawczo na to, co będzie, a nie na to, co było. Cykl życia powieści wchodzącej na rynek to obecnie – naturalnie z wyjątkami, ale nie licznymi – góra dwa miesiące. Nagrody, siłą rzeczy przyznawane z pewnym opóźnieniem, pozwalają grupie wybranych pozycji cieszyć się życiem odrobinę dłużej. I to by było na tyle. Reszta to rzadko odwiedzany cmentarz. Za każdym razem, gdy biorę się za porządki w domowej bibliotece, w moje ręce wpadają książki wydane dosłownie parę lat wcześniej i niemal natychmiast zapomniane. Ten stan rzeczy budzi mój głęboki sprzeciw. Coraz częściej mam ochotę odbywać literackie podróże pod prąd czasu. Czy w epoce komercyjnego kultu nowości i pamięci spływającej przez media społecznościowe to już kontrkultura?

W kolejce czeka kolejne pytanie, nie bez związku z poprzednim: jakie czynniki decydują, że jedni pisarze i pisarki są po dekadach wciąż czytani, inni zaś giną w mroku zbiorowej amnezji? Zasada merytokratyczna – czyli każdemu wedle zasług – nie zawsze się tu sprawdza: znam wielu świetnych autorów, których książki służą już tylko za karmę dla roztoczy. Może ważne jest, żeby być żywym? Tak, to jest jakiś trop. A gdy mowa o nieżywych – może chodzi nie tyle o samą twórczość, ile o społeczny i kulturowy kapitał zgromadzony przez nich za życia? O to, że szczęśliwie pisało się w bezpośredniej bliskości opiniotwórczych środowisk i towarzyskich węzłów? Oczywiście prawdopodobny jest tak-

że inny, banalny powód: taki mianowicie, że zwykle nie zapominamy o tych, których twórczość pozostaje dla nas zrozumiała, bo nieuwięziona w generacyjnych, historycznych czy lingwistycznych kontekstach.

**S**ą pytania, odpowiedzi wymagają namysłu. Na razie poświęćmy chwilę uwagi książce, która przeciwstawia się tej entropii i niepamięci. Pod redakcją Ewy Graczyk, Bartosza Dąbrowskiego i Katarzyny Warszawskiej z Uniwersytetu Gdańskiego ukazał się wybór prozy Róży Ostrowskiej (1926–1975) „Rybka, róża, bunt”. „W naszej nieodległej, bo peerełowskiej, historii, tworzyła niezwykła pisarka, o której, bardzo niesprawiedliwie, zapomnieliśmy, i tylko na Pomorzu istnieje niewielki, ale wierny klub fanek i fanów jej literatury i postaci” – pisze w posłowie Ewa Graczyk, a ja przyznaję: nie miałem pojęcia o istnieniu Róży Ostrowskiej. Tym bardziej cieszę się z odkrycia – idzie bowiem o twórczynię nietuzinkową i oryginalną.

Róża Ostrowska (z domu Piotrowicz) urodziła się w Wilnie w rodzinie inteligentnej, postszlacheckiej: ojciec był wojskowym, potem sanacyjnym urzędnikiem, matka przejawiała pewne ambicje pisarskie. Róża uczęszczała do szkół katolickich przy zakonach, także w czasie okupacji. Maturę zrobiła tuż przed repatriacją do Poznania, gdzie studiowała polonistykę, wyszła za mąż za aktora Leszka Ostrowskiego i wraz z nim przeniosła się do Trójmiasta, najpierw do Gdyni, następnie – w 1963 r. – do Wrzeszcza. Jej kariera zawodowa była związana głównie z teatrem: pracowała jako kierowniczka literacka Teatru Wybrzeże i krytyczka teatralna. Po październiku 1956 r. zaczęła też angażować się w działalność społeczną z coraz mocniejszymi akcentami politycznymi – w połowie lat 60. stała się obiektem zainteresowania bezpieki, a po roku 1968, gdy aktywnie protestowała przeciwko wydarzeniom

marcowym, terror państwa pozbawił ją pracy i możliwości publikowania. W 1971 r. zaczęła chorować; 23 marca 1975 r. zmarła na raka płuc.

Z zachowanych zdjęć spogląda na nas osoba o wielkiej urodzie i potężnej charyzmie, osoba, która – co niewykluczone – była, jak to mawiają w Ameryce, „larger than life” w czasach, gdy bycie „larger than life” niekoniecznie okazywało się bezpieczną strategią przetrwania: w gomułkowskiej Polsce stawiano raczej na konformistyczną stabilizację. Ewa Graczyk w posłowie pisze ponadto o „złym wyglądzie”: w gęstniejącej atmosferze lat 60. nie trzeba było zapewne nawet być Żydówką, żeby stać się „królową złego wyglądu”. To napięcie – między marazmem a nieukontentowaniem, narzuconym porządkiem a niechęcią, by się do niego dopasować, systemowymi kulami u nogi a potrzebą wolności i ucieczki, między społeczną (w tym patriarchalną) presją a silnym temperamentem – jest podstawowym składnikiem pisarstwa Ostrowskiej. Drugim jest nostalgia; ostatecznie mówimy tu o biografii rozkrojonej przez wojnę – krajobraz, czas, język pozostawione po tamtej stronie stały się czymś dalekim, nieosiągalnym, istniejącym tylko w zamglonych powidokach.

**J**est jeszcze trzeci element: Kaszuby. Od wczesnych lat 50. Ostrowska jeździła z Trójmiasta w okolice Wdzydz, gdzie nie tylko odnalazła fragmenty utraconego pejzażu Wileńszczyzny, lecz także nieskrępowaną szczerość międzyludzkich kontaktów w epoce strachu i obłudy.

Na tom „Rybka, róża, bunt” składają się cztery utwory. Książkę otwiera debiutanckie opowiadanie „Itka Fejgus” z 1948 r., rzecz o starej żydowskiej sklepikarce, która w przeddzień wojny czuje pismo nosem, mając osobliwą metaświadomość końca świata (narratorka, już po wojnie, wie, że ów koniec świata naprawdę się wydarzył).

Następna w kolejności jest nowela „Dziesięcioro przykazań siostry Imeldy” z 1956 r. (stanowiła jeden z trzech tekstów w zbiorze opowiadań „Premiera”) – w pewnej mierze autobiograficzna historia o uczennicach szkoły zakonnej, poddawanych różnego rodzaju tresurze i moralnemu szantażowi. Tu już się czuje duże pisarstwo, Ostrowska potrafi bowiem operować na wielu poziomach znaczeniowych i narracyjnych jednocześnie. Z jednej strony jest to więc rzecz o wtlaczaniu wzorców kobiecego posłuszeństwa z pozycji autorytetu, z drugiej – ponura powiastka o zakłamanym do szczętu świecie dorosłych, z trzeciej wreszcie medytacja o istocie totalitaryzmu, który oczekuje od swoich ofiar, że obdarzą go szczerą miłością.

Potem przychodzi nieduża powieść „Wyspa” (oryginalnie wydana w 1960 r.), egzystencjalistyczna utopia o prowincjonalnym, prywatnym wszechświecie, ale też po prostu piękna, sensualna proza. Oto aktorka z trójmiejskiego teatru, uwikłana w toksyczny związek z reżyserem (albo szerzej – w toksyczny, depresyjny związek z rzeczywistością), wyjeżdża na letnisko na Kaszuby. W małej wsi ▷

**Mówimy tu o biografii rozkrojonej przez wojnę – krajobraz, czas, język pozostawione po tamtej stronie stały się czymś istniejącym tylko w powidokach**

Rybaki znajdzie ukojenie, przyjaźń i miłość, znajdzie tam również okrucy utraconej młodości z jej swobodą życiowych wyborów i pochwałą niekonsekwencji. Nazywam ten tekst utopią, choć jest on może bardziej projekcją utopii, o której się przecież wie, że jest niemożliwa. Mówimy tu o utopii kobiecej swobody, odrzuceniu pojęcia grzechu, o buncie przeciw konstrukcji świata. W PRL takie offowe – w tym erotyczne – poszukiwania (weźmy choćby mitologię Bieszczad) były raczej domeną mężczyzn, więc „Wyspa” i w tym sensie jest inna niż wszystko, co się wtedy pisało.

Książka finiszuje opracowanym i wydanym pośmiertnie w 1977 r. szkicem do powieści „Mój świat osobny” – miała być to prawdopodobnie część większego cyklu. Ostrowska pracowała nad „Moim światem osobnym” już w momencie politycznie indukowanej izolacji, także w latach choroby. Zamiast jednak głębiej zapuścić się w obszary utopii, dokonuje dekonstrukcji osobistej mitologii: wieś kaszubska ukazuje się tu bez sielankowych ozdóbek, rozorana biedą, alkoholizmem, rabunkową modernizacją, przemocą w rodzinie. Narratorka (jak zwykle będąca swego rodzaju alter ego autorki) siedzi na wsi, bo w mieście nie ma dla niej pracy. Zarabia na życie, świadcząc usługi biurowe koledze z dawnych wileńskich czasów. Kiedyś była pisarką, dziś znajduje swoje rękopisy w sławojce (nie wiemy, kto je tam umieścił, może ona sama?), w roli papieru toaletowego. Z rękopisów tych wyłaniają się fragmenty nostalgicznej powieści o dojrzewaniu w przedwojennym dworku. Ale być może najciekawszy jest język „Mojego świata osobnego”: wspomniane fragmenty napisane są wzorcową, modernistyczną polszczyzną, ale sama narracja współczesna ma melodię i składnię gwary wileńskiej, choć przecież opowiada o melancholii schyłku w kaszubskiej checzy. Tak jakby autorka uciekała w ostatnie bezpieczne miejsce – do języka swojego dzieciństwa.

Może doczekamy się także reedycji zbioru opowiadań „Siódme piętro”, powstałych w trakcie paryskiego stypendium pisarki na początku lat 60. Tak czy owak, Ostrowska jest warta ponownego odkrycia. Składam podziękowania redaktorom i wydawcy, bo to jednak ryzykowna sprawa, takie sabotowanie nieubłaganej strzałki czasu. ©

## Róża Ostrowska

„Rybka, róża, bunt”, red. Ewa Graczyk, Bartosz Dąbrowski, Katarzyna Warska, posł. Ewa Graczyk, słowo/obraz terytoria & fundacja Terytoria Książki, Gdańsk 2025



# Nauka

## Kometa wypuszcza dzety i ucieka

3I/ATLAS to bezcenny obiekt, który przynosi nam wiedzę o najdalszych zakątkach naszej galaktyki

Z Michałem

## Drahusem

rozmawia Anna Piotrowska

Kiedy w lipcu ubiegłego roku kometa 3I/ATLAS pojawiła się w Układzie Słonecznym, została przez niektórych badaczy obwołana statkiem Obcych.

To już trzeci ciekawy obiekt, który od 2017 r. przyleciał do nas z gwiazd. Czy jesteśmy przez kogoś obserwowani?

Dziwne zachowanie 3I/ATLAS to wymysł dziennikarzy mediów brukowych, których teorie podsycają naukowcy mający interesy w wytwarzaniu sensacyjnej otoczki wokół komety. Mam na myśli przede wszystkim astrofizyka z Uniwersytetu Harvarda Avięgo Loeba, który opublikował kilka książek poruszających kwestię przelotów statków obcych cywilizacji przez Układ Słoneczny. Robienie zamieszania wokół tego typu obiektów leży w jego finansowym interesie. Nie ulegajmy jednak teoriom bez podstawy w faktach. Obiekt 3I/ATLAS w żadnej mierze nie jest ciałem dziwnym, za to jest niezwykle interesujący pod względem naukowym.

Dlaczego?

Latem ubiegłego roku w naszym kosmicznym ogródku – Układzie Słonecznym – pojawiło się ciało kosmiczne przybyłe prawdopodobnie z bardzo odległego zakątka Drogi Mlecznej, z miejsca, którego nie możemy bezpośrednio obserwować ani badać. Ale mogliśmy badać tego przybysza, i to z bliska. To bezcenny obiekt, który przynosi nam

wiedzę o najdalszych zakątkach naszej galaktyki.

Skąd się wzięła jego nazwa? „3I” oznacza trzeci obiekt międzygwiazdowy wykryty na terenie Układu Słonecznego; „I” to po angielsku „Interstellar” – międzygwiazdowy. Natomiast „ATLAS” odnosi się do nazwy programu monitorowania nieba, w ramach którego został odkryty. To kilka teleskopów przeczesujących niebo w poszukiwaniu planetoid i komet, które mogłyby się zderzyć z Ziemią. W trakcie rutynowego sprawdzania wykryto kometa 3I/ATLAS.

Co zwróciło uwagę astronomów? Po pierwsze, obiekt poruszał się dość szybko. A po drugie, pomiar jego położenia względem gwiazd wykazał, że 3I/ATLAS nie jest powiązany grawitacyjnie ze Słońcem, jak to jest zazwyczaj z kometami. Wleciał do Układu Słonecznego z prędkością ok. 60 km/s. Podczas przelotu obiekt był poddawany siłom grawitacyjnym Słońca, jak również w znacznie słabszym stopniu planet, ale nie na tyle, aby to znacznie zaburzyło trajektorię jego przemieszczania się. Obiekt przetnie cały Układ Słoneczny, doznając niewielkiej modyfikacji orbity i poleci dalej w przestrzeń międzygwiazdową.

Czego do tej pory dowiedzieliśmy się o 3I/ATLAS?

To kometa międzygwiazdowa, poruszająca się ciało skalno-lodowe; ma ciekawy skład chemiczny, podobny do innych obiektów z Układu Słonecznego. Ale ma także swoje ciekawostki, np. bardzo dużą obfitość metali, szczególnie niklu. Znajdujemy go także



FOT. BE&W

w kometach powstałych w Układzie Słonecznym, ale 3I/ATLAS ma go nieco więcej. Ponadto w dużych odległościach od Słońca w jego składzie było też sporo dwutlenku węgla. Ale to żaden statek Obcych. To normalna sprawa, bo skład obłoku materii, z którego uformował się 3I/ATLAS, był inny niż ten, z którego powstał Układ Słoneczny.

Ale pojawiły się też doniesienia, że wokół 3I/ATLAS dzieją się dziwne rzeczy. A to otoczyła go zielona poświata, a potem wyściekające gazy utworzyły coś na kształt nóg pająka. Nic nadzwyczajnego. To dzety – strużki materii, które z nich się wydobywają. Komety emitują również sygnał radiowy...

To nie dowód na sztuczne pochodzenie? Molekuły w kometach emitują światło na różnych długościach fal. Powszechna w nich grupa hydroksylowa OH, pochodząca z rozpadu cząsteczek wody, emituje światło na falach radiowych 1,6 GHz. To świecenie cząsteczek wody, które obserwujemy również w przypadku 3I/ATLAS. W przestrzeni medialnej pojawiły się też doniesienia, że obiekt ma warkocz w odwrotną stronę, skierowany w kierunku Słońca, a to był duży dżet, także zupełnie normalne zjawisko. Ilość bzdur pojawiająca się przy okazji odwiedzin tej komety jest przerażająca.

Obserwowana kometa to trzeci obiekt międzygwiazdowy odwiedzający Układ Słoneczny. Jakie były poprzednie?

Poprzedni odkrył w sierpniu 2019 r. rosyjsko-ukraiński astronom Giennadij



Kometa z 1812 r. widziana z Pont Neuf w Paryżu

Borysow; i został on nazwany na jego cześć: 21/Borisov. Był praktycznie nieodróżnialny od komet z Układu Słonecznego, miał za to inną orbitę, która wskazywała na to, że jest on przybyszem z zewnątrz.

W przypadku 31/ATLAS można powiedzieć, że...

Jest on bliskim kuzynem komet z Układu Słonecznego ze względu na bardzo podobny skład chemiczny. I nie jest tak, że pod pewnymi względami ta kometa jest kompletnie odjechana. To raczej obiekt 21/Borisov jest dziwny. Nie spodziewaliśmy się, że coś, co przylatuje do nas z bardzo daleka, co powstało z innej kosmicznej gliny, będzie tak podobne do komet z Układu Słonecznego. W tym sensie 31/ATLAS jest najbardziej spodziewanym przedstawicielem komety międzygwiazdowej.

Skąd 31/ATLAS do nas dotarł? Zapewne z innego układu planetarnego w centralnym zgrubieniu Drogi Mlecznej, ale nie możemy wskazać dokładnej lokalizacji. Podobnie było w przypadku dwóch innych obiektów międzygwiazdowych, które odwiedziły nas wcześniej. Ich wygląd oraz skład dowodzą, z jak wielką różnorodnością systemów planetarnych mamy do czynienia w naszej galaktyce. Są takie, które produkują bliźniaki komet Układu Słonecznego, inne wytwarzają obiekty podobne, ale są też takie, które dają kompletne dziwolągi, jak 11/'Oumuamua. To był pierwszy zarejestrowany obiekt międzygwiazdowy. On rzeczywiście był bardzo dziwny.

Pamiętam wizualizacje: pokazywały płaski kawałek kosmicznej skały.

Trzeba pamiętać, że nie były to zdjęcia, lecz artystyczne wyobrażenia tego, jak obiekt może wyglądać. Fotograficznie pokazywały kropkę nieznacznie rozmytą przez ziemską atmosferę. Dowodem nieregularności kształtu, jego wydłużenia i splaszczczenia, może być duża zmienność blasku 'Oumuamua. Jednak blask może bardzo się zmieniać, jeśli obiekt jest z jednej strony biały, a z drugiej czarny. Nikt bezpośrednio nie zobaczył kształtu 'Oumuamua, której nazwę tłumaczy się z hawajskiego „pierwszy posłaniec”.

Dlaczego była dziwna?

Była to skalista planetoida – nie widzieliśmy śladów utraty materii, nie widzieliśmy otoczki kometarnej, warkocza.

Nie było charakterystycznej dla komet sublimacji, przejścia lodu i zamrożonych w jądrze komety gazów pod wpływem Słońca bezpośrednio w stan gazowy?

Przynajmniej zauważalnej. To bardzo interesujące. W typowym układzie planetarnym, blisko gwiazdy, gdzie panują wysokie temperatury, powstają obiekty niemające w swoim składzie lodu, bo jest za ciepło, by mógł się skondensować. Z kolei daleko od gwiazd tworzą się obiekty chłodniejsze, na których lód może się pojawiać. Z układu planetarnego łatwiej wyrzucić te drugie, bo są słabiej związane grawitacyjnie. Zanim przyleciała 'Oumuamua, spodziewano się więc, że międzygwiazdowi podróżnicy będą lodowymi kometami. A ona najwyraźniej była kawałkiem skały. Kolejną anomalią – największą – było to, że 'Oumuamua doświadczała sił niegravitacyjnych, które spychały ją z naturalnej gra-

witacyjnej orbity. Czym one były – nie wiadomo. Podobne siły działają na typowe komety, ale łatwo to wytłumaczyć: tracą masę w wyniku sublimacji, a wyrzut materii działa jak silnik odrzutowy i spycha je z orbity wynikającej wyłącznie z oddziaływań grawitacyjnych. Tu tego nie było, a skala zjawiska była bardzo duża jak na sytuację, w której nie widać żadnej wyrzucanej materii. Do dziś tego zjawiska nie udało się wyjaśnić.

Czyli z trzech obiektów, o których dzisiaj rozmawiamy, to 'Oumuamua wydaje się najbardziej obca?

Tylko dlaczego ten obiekt zachowywał się tak normalnie? Trajektorja jego lotu wynikała z praw fizyki, nie było dziwnych manewrów, nagłych przyspieszeń czy zwolnień, zmian kursu. Ruch był regularny, miał tylko niewielki efekt siły niegravitacyjnej. 'Oumuamua wyglądała jak planetoida, ale zachowywała się niczym kometa. Bardzo dużo bym dał, żeby się dowiedzieć, dlaczego tak się działo.

Zna pan teorię ciemnego lasu chińskiego pisarza Liu Cixina? To hipotetyczne wyjaśnienie Paradoксу Fermiego sugerujące, że wszechświat jest pełen cywili-

zacji, które się ukrywają z obawy, że ujawnienie narazi je na zniszczenie przez inne. Może to była dyskretna misja zwiadowcza? Nie rozumiem koncepcji, w której cywilizacje miałyby milczeć. Nasza nie milczy...

Może jeszcze nie doszliśmy do tego, że należy milczeć.

Ale wtedy każda cywilizacja musiałaby przejść przez etap krzyku, a gdyby inne były zagrożeniem, ostałyby się tylko jedna, niszcząca głośnych sąsiadów. To nie ma sensu.

Wracając do 31/ATLAS: co się będzie z tym obiektem działo? Bardzo szybko oddała się od Ziemi i już do nas nie powróci. Nie spodziewamy się nowych, przełomowych wyników badań, chyba że coś jeszcze jest w danych, które zostały zgromadzone na dyskach komputerów.

Dlaczego od niedawna wykrywamy w Układzie Słonecznym obiekty międzygwiazdowe?

Istnienia i przelotów takich ciał spodziewano się od dziesięcioleci. Wiemy, że w przeszłości z naszego Układu Słonecznego na skutek oddziaływań planetarnych zostało wymiecionych bardzo dużo komet i planetoid. Stąd spodziewaliśmy się, że takie same mechanizmy działają gdzieś indziej. Interesujące jest to, że każde kolejne ciało, które nas odwiedza, jest coraz jaśniejsze. To przypadek, ale 'Oumuamua została wykryta tylko dlatego, że dysponujemy coraz doskonalszymi narzędziami. Natomiast drugi i trzeci obiekt międzygwiazdowy były na tyle jasne, że mogli je odkryć zwykli miłośnicy astronomii. Borysow miał zbudowany przez siebie, dość mocny, ale wciąż amatorski, teleskop. 31/ATLAS zarejestrował wprawdzie profesjonalny przegląd nieba, ale bazujący na względnie małych teleskopach. Kiedy ta kometa zbliżyła się do Ziemi, była tak jasna, że można było ją zobaczyć przez lornetkę.

Ciekawa jestem, jakie jest prawdopodobieństwo, że w stosunkowo krótkim czasie będziemy mieli w naszym układzie planetarnym aż trzy takie interesujące obiekty.

Kiedy zaczynałem przygodę z astronomią, to rok po roku widziałem wyjątkowo spektakularne komety: Hyakutake w 1996 r. i Hale'a-Bopp'a w 1997 r. Statystycznie szansa na to, by tak jasne obiekty zaobserwować w krótkim czasie, jest niewielka. A jednak tak się zdarzyło. Kiedy Kometa Halleya przelatywała koło Ziemi w 1910 r., trochę wcześniej odkryto inną, dużo jaśniejszą. To się zdarza i nie jest powodem do uciekania w teorię o UFO. ©



Michał Drahus

astronom,  
Observatorium  
Astronomiczne  
Uniwersytetu  
Jagiellońskiego

## KOMUNIKATY

Warszawa, dnia 06.02.2026 r.

**KOMUNIKAT****w sprawie cofnięcia Polski Gaz Towarzystwu Ubezpieczeń Wzajemnych na Życie w likwidacji z siedzibą w Warszawie zezwolenia na wykonywanie działalności ubezpieczeniowej w zakresie całej działalności**

Na podstawie art. 172 ust. 13 ustawy z dnia 11 września 2015 r. o działalności ubezpieczeniowej i reasekuracyjnej (Dz. U. z 2025 r., poz. 1526) Komisja Nadzoru Finansowego **po raz trzeci** ogłasza o cofnięciu w dniu 16 stycznia 2026 r. Polski Gaz Towarzystwu Ubezpieczeń Wzajemnych na Życie w likwidacji z siedzibą w Warszawie (Polski Gaz TUWnŻ) zezwolenia na wykonywanie działalności ubezpieczeniowej w zakresie ubezpieczeń, o których mowa w Dziale I – ubezpieczenia na życie załącznika do ustawy o działalności ubezpieczeniowej i reasekuracyjnej – Podział Ryzyka według Działów, Grup i Rodzajów Ubezpieczeń w grupach 1, 3, 5.

Zgodnie z dyspozycją art. 172 ust. 12 ustawy o działalności ubezpieczeniowej i reasekuracyjnej decyzja Komisji Nadzoru Finansowego o cofnięciu Polski Gaz TUWnŻ zezwolenia na wykonywanie działalności ubezpieczeniowej jest natychmiast wykonalna.

W konsekwencji, zgodnie z brzmieniem art. 173 ustawy o działalności ubezpieczeniowej i reasekuracyjnej Polski Gaz TUWnŻ nie może:

1. zawierać umów ubezpieczenia,
2. przedłużać zawartych umów ubezpieczenia,
3. obejmować ochroną ubezpieczeniową nowych ryzyk na podstawie zawartych umów ubezpieczenia,
4. podwyższać sum ubezpieczenia w zawartych umowach ubezpieczenia,
5. dokonywać zmian umów ubezpieczenia zwiększających odpowiedzialność zakładu ubezpieczeń, innych niż podwyższanie sum ubezpieczenia.

**Ogłoszenie****Prezydenta Miasta Katowice**

Zgodnie z art. 38 ust. 4 ustawy o gospodarce nieruchomościami oraz pkt 19 warunków przetargu odwołano przetarg ustny nieograniczony ustalony na dzień 03.02.2026 r. o godz. 9:40 na sprzedaż lokalu niemieszkalnego położonego w Katowicach przy ul. Mariackiej 26/V, ogłoszony w Dzienniku Gazecie Prawnej w dniu 26.11.2025 r. oraz odwołuje się drugie przetargi ustne nieograniczone na sprzedaż lokali niemieszkalnych nr II i III ustalone na dzień 17.02.2026 r. godz. 10:00 i 10:20, ogłoszone w Dzienniku Zachodnim w dniu 8.01.2026 r.

Przetargi odwołuje się w celu kompleksowego zadysponowania wolnymi lokalami Miasta Katowice położonymi w nieruchomości przy ul. Mariackiej 26, 26 / Francuskiej 6, 6a.

**Burmistrz Orzysza****ogłasza pierwszy przetarg ustny nieograniczony na sprzedaż nieruchomości stanowiącej własność Gminy Orzysz, powiat piski, woj. warmińsko – mazurskie.**

1. **Przedmiotem sprzedaży jest nieruchomość gruntowa niezabudowana oznaczona nr geod. 80/45 o pow. 1,1776 ha położona w obrębie geod. Okartowo, gm. Orzysz.**
2. **Opis nieruchomości:**  
Nieruchomość położona jest na skraju zabudowy wsi Okartowo, w gminie Orzysz, przy drodze krajowej nr DK16. Od strony południowej działka graniczy z terenami kolejowymi. Odległość od jeziora Tyrko – ok. 200 m. Odległość od jezior Śniardwy – ok. 600 m. Działka posiada bezpośredni dostęp do drogi publicznej krajowej oraz do drogi gminnej. Działka ma kształt nieregularny. Teren działki w miarę płaski, nieco zakrzaczony. Działka nieuprawiana, niezagospodarowana, porośnięta samosiewkami sosny. Instalacje sieciowe: elektryczność i wodociąg na działce, kanalizacja po drugiej stronie ulicy. Użytki: RVI, RV, Lzr/RVI, Lzr/RIVb.
3. Nieruchomość oznaczona jest miejscowym planie zagospodarowania obrębu Okartowo symbolem: UN – tereny usług nieuciążliwych.
4. Działka posiada urzędową księgę wieczystą – OL1P/00013546/7.
5. **Cena wywoławcza nieruchomości: 480 000,00 zł brutto.**
6. Przetarg odbędzie się w dniu **10 kwietnia 2026 roku, godz. 10:00** w Urzędzie Miejskim w Orzyszu, sala nr 113 (sala posiedzeń).
7. **Warunkiem przystąpienia do przetargu jest wpłacenie wadium w wysokości 48 000,00 zł na konto Urzędu Miejskiego w Orzyszu Warmińsko Mazurski Bank Spółdzielczy Oddział w Orzyszu nr konta 02 9364 0000 2003 0001 9817 0007.** Ustala się termin wpłacenia wadium na ww. konto do dnia **07 kwietnia 2026 roku.** Za datę dokonania wpłaty uważa się dzień uznania rachunku Urzędu Miejskiego w Orzyszu kwotą wadium.
8. Ogłoszenie o przetargu wywieszono na tablicy ogłoszeń Urzędu Miejskiego w Orzyszu oraz na stronie internetowej [www.bip.orzysz.pl](http://www.bip.orzysz.pl), w zakładce Do sprzedaży i dzierżawy.
9. Szczegółowe informacje można uzyskać w Urzędzie Miejskim w Orzyszu, ul. Rynek 3 pokój nr 210 lub tel. 600 902 890.



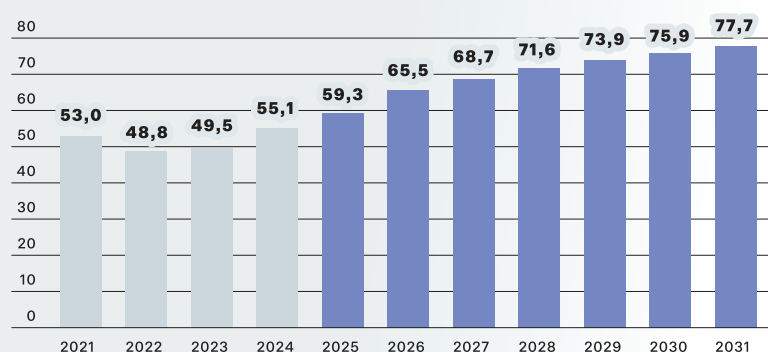
Łukasz

Wilkowicz

**MFW widzi nasz dług wysoko**

W opublikowanym kilka dni temu raporcie po ubiegłorocznym przeglądzie naszej gospodarki Międzynarodowy Fundusz Walutowy zwraca uwagę, że „Polska utrzymała szybki wzrost gospodarczy częściowo kosztem gwałtownego wzrostu nierównowagi fiskalnej” oraz że do priorytetów powinno należeć „zmniejszenie deficytu w celu stabilizacji długu publicznego”. W 2031 r. dług publiczny może się zbliżyć do 80 proc. „Aby odwrócić tę tendencję, zalecana jest skumulowana korekta fiskalna rządu 4 proc. PKB” – napisano. „Polska musi albo zwiększyć dochody, aby utrzymać poziom wydatków, albo powrócić do szerszego sektora publicznego z bardziej efektywnym i ukierunkowanym wydatkowaniem”. ©

Dług publiczny Polski (proc. PKB)



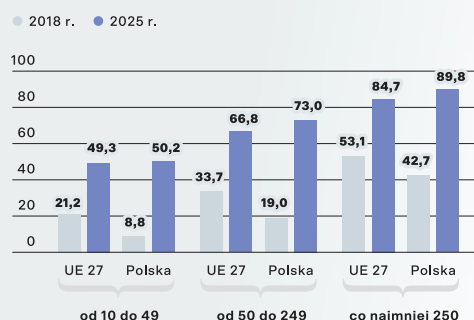
Źródło: MFW; od 2025 r.: dane szacunkowe i projekcja MFW

LR ©

**Skok firm do chmury**

W 2025 r. w UE prawie 53 proc. firm korzystało z płatnych usług przetwarzania danych w chmurze. Ich popularność od 2023 r. zwiększyła się o 7 pkt proc. Pod względem wykorzystania dostępu do oprogramowania, mocy obliczeniowej czy

Odsetek firm korzystających z płatnych usług chmurowych w zależności od liczby zatrudnionych



Źródło: Eurostat

LR ©

zapisu danych u zewnętrznych dostawców Polska jest nieco powyżej średniej. Najlepiej wypadają firmy większe. Skok zainteresowania chmurą nastąpił w trakcie pandemii. Ale wiele wskazuje na to, że szczyt możliwości został osiągnięty. W Polsce, w porównaniu z 2023 r., odsetek firm korzystających z chmury się nie zwiększył (nie przeszkadza to, żeby zwolennicy chmury korzystali z niej w coraz większym stopniu). ©

**Jakie imiona są na topie**

Nikodem i Zofia były najchętniej wybieranymi imionami dla noworodków – wynika z danych resortu cyfryzacji. Nikodem utrzymał pozycję lidera wśród imion męskich, natomiast Zofia wróciła na pierwsze miejsce po roku przerwy, gdy liderką była Maja. Wśród chłopców do zdobycia pierwszego miejsca wystarczyło niespełna 5,8 tys. przypadków wyboru imienia przez rodziców. Wśród dziewczynek, gdzie różnorodność jest nieco większa, trzeba było zaledwie 4,4 tys. wskazań. Dziesięć najpopularniejszych imion męskich nadano 35 proc. urodzonych w ubiegłym roku chłopców. Imiona z topu dostało jedynie 28 proc. dziewczynek. ©

Najpopularniejsze imiona (odsetek noworodków danej płci)

(odsetek noworodków danej płci)

2020 r. 2025 r.



Źródło: DGP na podstawie danych Ministerstwa Cyfryzacji LR ©



FOT. WOJTEK GÓRSKI

# Kieszonkowy przewodnik po uniwersum kryptowalut

Rafał **Woś**

Dawno minęły już czasy, gdy rynek kryptowalut ograniczał się do bitcoina i jego paru młodszych mutacji w stylu ethera czy tethera. Dziś to już ogromne uniwersum z całym zastępem bohaterów pierwszego, drugiego i trzeciego planu.

Na początku mówiło się „kryptowaluty”. Od pewnego czasu bardziej trafne zdaje się określenie „tokeny”. Chodzi o cyfrowe instrumenty finansowe imitujące pieniądze oparte na zaufaniu do ich emitenta. A właściwie do tego, że będziemy mogli je w wybranej przez nas chwili zamienić na realną wartość, czyli że znajdzie się ktoś, kto od nas ten token po dobroci odkupi.

Tym, którzy chcieliby się w tym świecie nie zgubić, polecam opracowanie szwajcarskich ekonomistów z Lucerny i Zurychu napisane pod kierunkiem Thomasa Akenbranda. Badacze proponują podział stokenizowanych pieniędzy na kilka dużych rodzin.

Pierwszą są pieniądze cyfrowe banku centralnego, czyli projekt funkcjonujący pod angielskim skrótowcem CBDC. W pełni ten pieniądz nie funkcjonuje jeszcze nigdzie na świecie. Wiadomo jednak, że większość banków centralnych (z sondażu Banku Rozliczeń Międzynarodowych w Bazylei wynika, że nawet 90 proc. z nich) pracuje nad jakąś formą CBDC. Jeśli powstanie, to będziemy mieli cyfrowy pieniądz kontrolowany i zarządzany przez emitenta (czyli bank centralny) w stopniu w zasadzie całkowitym. To będzie go odróżniało od klasycznego pieniądza puszczonego w obieg, który podlega panującym na rynku prawom, np. zyskuje albo traci na wartości w stopniu, który może władzy centralnej nie odpowiać. Z CBDC ten problem zostanie wyeliminowany.

Pamiętajmy jednak, że w naszym świecie emitentem pieniądza są nie tylko banki centralne, lecz także komercyjne, które czynią to w momencie udzielania kredytu. Jest oczywiste, że po tokeny sięgają instytucje finansowe, które nie chcą przegapić rewolucji krypto. I tak np. wielki bank JP Morgan Chase ma token o nazwie JPM Coin, który służy do rozliczania płatności między dużymi klientami

instytucjonalnymi. Podobnym projektem jest USC służący do rozliczeń między dużymi bankami.

Wiele ekscytacji budzi oczywiście przyznanie prawa do emisji cyfrowego pieniądza instytucjom niefinansowym. To już się zdarzyło, bo przecież wszystkie platformy oferujące kryptowaluty zaczęły je emitować bez pytania o zgodę regulatora. W ostatnich miesiącach trwają jednak próby ujęcia ich działalności w jakieś ramy. Jako pierwsze uczyniły to Stany Zjednoczone. Także po to, by na rynek tokenów nie bali się wejść bardziej konserwatywni użytkownicy pieniądza. Jeżeli ów token jest emitowany poza systemem bankowym, ale obiecuje powiązanie kursu z realnie istniejącą walutą – np. z dolarem – to wtedy taką kryptowalutę nazywamy stablecoinem. Przykładem może być kryptowaluta USDC stworzona przez amerykańską platformę Circle. Ale uwaga: gdy w 2023 r. upadł Silicon Valley Bank, okazało się, że z tą stabilnością może być różnie.

Są jednak takie kryptowaluty jak praprzodek wszystkich tokenów, czyli bitcoin, oraz jego późniejsze warianty. Ich wartość opiera się na algorytmie regulującym podaż i cyrkulację. W wielu przypadkach za takim tokenem nie stoi żaden pojedynczy emitent. Ów cyfrowy pieniądz (na przykład Dai) jest więc efektem zdecentralizowanego kontraktu zawartego na podstawie blockchaina. Jego wartość nie jest na stałe powiązana z żadną walutą, co jest jednocześnie wadą i zaletą w zależności od preferencji inwestora.

Do wyboru, do koloru. Szacuje się, że na koniec 2025 r. wartość stablecoinów w obiegu wynosiła ok. 250 mld dol. Banki przewidują jednak, że już w 2028 r. ma to być 2 bln, a w 2035 r. już 4 bln. Biorąc pod uwagę, że cała oficjalna globalna podaż pieniądza płynnego (czyli M2, jak powiedzieliby ekonomiści) to jakieś 110 bln dol., to już zaczyna być wartość dostrzegalna.

©©

Autor jest zastępcą redaktora naczelnego „Tygodnika Solidarność” oraz publicystą wydawanego przez NBP „Obserwatora Finansowego”

## Pobożność w konfrontacji z GPS

**W wielu kwestiach jesteśmy skazani na badania ludzkich deklaracji, a te mogą mieć marną wartość, skoro często kłamiemy. Może chociaż w kwestii własnej pobożności jesteśmy prawdomówni?**

Joanna

### Tyrowicz

Autorka jest ekonomistką GRAPE

Jak mawia serialowy dr House: „Wszyscy kłamią”. Ale choć nie jest on doktorem nauk społecznych, to jeśli ma rację – jesteśmy w poważnych tarapatach. Dlaczego? Bo w wielu kwestiach jesteśmy skazani na badania ludzkich deklaracji, a te mogą mieć marną wartość, skoro wszyscy kłamią. Może chociaż w kwestii własnej pobożności jesteśmy prawdomówni?

Devin G. Pope (Uniwersytet Chicagowski) wykorzystał w badaniu dane z logowania się do BTS-ów (stacji bazowych) dla reprezentatywnej próby posiadaczy komórek w USA. A ponieważ logi są geolokalizowane, połączył je z informacjami o adresach kościołów wszelkich denominacji. Dane zbierał od kwietnia 2019 r. do lutego 2020 r. (plan zakładał okrągły rok, ale pokrzyżowała go pandemia).

W badaniach ankietowych 46 proc. Amerykanów deklaruje uczestnictwo w nabożeństwach; dane z telefonów komórkowych wskazały, że 73 proc. mieszkańców USA choć raz w ciągu tych dziesięciu miesięcy przebywało przez przynajmniej 30 min w triangulacji zawierającej w środku budynek kościoła. Czemu 30 minut? Bo dzięki temu naukowiec eliminował krótkie mignięcia komórki przy kawiarni obok świątyni oraz przypadkowe odwiedzin poza dniami modlitwy. Ale dlaczego ludzie chodzą do kościoła częściej, niż się do tego przyznają? W deklaracjach mogą uwzględnić wyłącznie udział

w regularnych modlitwach, a dane z telefonów komórkowych wyłapią także śluby, pogrzeby i inne ceremonie.

Szczęśliwie w badaniach ludzie mówią także o cotygodniowym uczestnictwie w nabożeństwach: deklaruje to 22 proc. Amerykanów. Dane z komórek: 5 proc., czyli cztery razy mniej. Jeśli popatrzeć nie tylko na zwyczajowe dni nabożeństw (niedziela w chrześcijaństwie, piątek w islamie, sobota w judaizmie), ale na wszystkie dni tygodnia – maksymalnie 9 proc., czyli nadal ponad dwa razy mniej niż w deklaracjach.

Skoro wiemy, o którym Kościele mowa, można także porównać to, kto najbardziej rozumia się z prawdą. Według spisu ludności w USA najwięcej jest osób deklarujących się jako protestanci. W tej grupie do cotygodniowego uczestnictwa w nabożeństwach przyznaje się 19 proc. badanych, dane z komórek wskazują – że 16 proc. Podobne 3 pkt proc. różnicy pojawiają się u katolików: 6 proc. wobec 3 proc. Tyle że w pierwszym przypadku kłamię co piątasty wierny, a w drugim przypadku – co drugi.

W tygodniach Wielkanocy i Bożego Narodzenia liczba uczestników rośnie niemal o połowę. Równie spektakularne skoki obserwujemy podczas ramadanu, Id al-Adha czy Jom Kippur. Kaprysy pogody też mają znaczenie: deszcz obniża frekwencję na nabożeństwach, a ciepły dzień ją podnosi. Uczestnicy niedzielnych mszy, sobotnich minch czy piątkowych Dżummuah w większości przypadków

spędzają w świątyniach od 50 do 100 min. Najkrócej – średnio 51 min – przebywają muzułmanie, a najdłużej – 115 min – Świadkowie Jehowy.

Zadziwiająco klarowna jest też zależność między pobożnością a zachowaniem poza świątynią. Badanie komórek pokazuje, że osoby regularnie uczestniczące w nabożeństwach z grubsza o połowę rzadziej odwiedzają kasyna, sklepy monopolowe czy kluby ze striptizem.

Na podstawie logowania w nocy można zdefiniować miejsce zamieszkania, a to z kolei pozwala oszacować majątność posiadaczy telefonów (w jakiej dzielnicy mieszkają). Osoby najregularniej praktykujące charakteryzuje nieco niższy dochód niż te, które odwiedzają kościół sporadycznie lub wcale. Jednocześnie mediana dochodu gospodarstw domowych cotygodniowych uczestników wynosi 74 tys. dol., wobec 80 tys. u osób, które w ogóle nie odwiedzały miejsc kultu. Kiedy dwie losowe osoby uczestniczą w tym samym nabożeństwie w tej samej świątyni, to ich dochody różnią się przeciętnie o 21 tys. dol. – podobnie jak w przypadku osób w tym samym czasie kupujących w supermarkecie Walmart.

Jaki morał z tej historii? W wielu analizach procesów społecznych i ekonomicznych wykorzystujemy deklaracje z badań ankietowych, w tym te dotyczące religijności. Warto najpierw uzgodnić deklaracje z faktami, nim wyciągniemy fundamentalne wnioski. ©©

REKLAMA

# TERAZ DZIAŁAMY POD MARKĄ ORLEN

Nazwę PGNiG Obrót Detaliczny sp. z o.o. zmieniliśmy na myORLEN sp. z o.o. i zaczęliśmy działać pod marką ORLEN.

Już od ponad trzech lat jesteśmy częścią Grupy Kapitałowej ORLEN. Teraz robimy kolejny krok, aby jeszcze lepiej odpowiadać na potrzeby naszych Klientów. Grupa Kapitałowa ORLEN, w tym наша Spółka, dąży do zapewnienia wygodnego dostępu do szerokiej oferty produktów i usług obejmujących: gaz, energię elektryczną, paliwa oraz nowoczesne rozwiązania wspierające codzienne funkcjonowanie domów, firm i instytucji. To wszystko po to, by zapewnić naszym Klientom jeszcze więcej korzyści, komfortu i bezpieczeństwa.



Dowiedz się więcej  
o tej zmianie  
na [myorlen.pl](https://myorlen.pl)